Nr. 1. Warszawa, dnia 7 Stycznia 1893 r. (26 Grudnia 1892 r.). Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ *Polityka*: Rok pokoju. — Burza panamska, p. Elpona. — Tydzień polityczny. — *Odcinek*: Bocian, p. Włodzimierza Wysockiego. — *Literatura i sztuka*: Nietzscheanizm, I, p. Ego. — Nowy utwór Ibsena, p. J. W. — Literatura polska, p. Zyg. Piet. — Teatr, p. Zenona Pietkiewicza. — Malarstwo, p. Cezarego Jelentę. — *Życie społeczne* L. Pasteur (w 70 rocznicę urodzin), p. O. Bujwida. — Dr. J. K. Rosé (wspomnienie pozgonne). — Liberum veto, p. Posła Prawdy. — *Sprawy ekonomiczne*: Przemysł, handel i finanse. — O prawdę, p. Maksym. Heilperna i Wł. M. Kozłowskiego. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

ROK POKOJU.

Podczas przyjęć noworocznych monarchowie lub ministrowie państw europejskich otwierają usta dla wypowiedzenia wróżb i nadziei, dotyczących najbliższej przyszłości. Od lat wielu, tj. od chwili rozpoczęcia olbrzymich uzbrojeń i otworzenia epoki militaryzmu, powtarzają się stale zapewnienia pokojowe. Ponowiły się one i obecnie. Rzecz dziwna, mimo uderzającej sprzeczności między słowami a czynami, zapewnienia te nie są odczepnymi frazesami i sztucznem oświetlaniem chmury, niosącej gromy, lecz w pewnem znaczeniu odpowiadają wiernie rzeczywistości. Gdy król Humbert oświadczył, iż szczęśliwym się czuje, mogąc zaręczyć, że rok nowy upłynie w pokoju i pozwoli jego narodowi zająć się pracą wewnętrzną, mówił szczerze. Tęż samą szczerość należy przyznać hr. Taaffemu i prezydentowi Rzeczpospolitej francuskiej, a nawet cesarzowi niemieckiemu, chociaż jego żądanie znacznego powiększenia sił zbrojnych, zakwestyonowane w swej zasadności przez sejm, stanęło w rażącem przeciwieństwie do wiary w pokój. Wilhelm II jednakże usuwa tę niezgodę wyjaśnieniem, że mu większa armia potrzebna jest na dalszą przyszłość. Zewsząd tedy spłynęły wyrazy kojące obawę i odganiające trwogę o jutro. Jak rzekliśmy, tkwi w tych zaręczeniach prawda. Nie opiera się ona na poprawie stosunków międzynarodowych, na sharmonizowaniu odmiennych interesów, na złagodzeniu pretensyj i niesnasek, ale na tym szczególnym fakcie, że pomimo całego rozkwitu militaryzmu w Europie, pomimo niezliczonych zastępów, stojących pod bronią lub zapasowych, żadne państwo wojny nie pragnie, bo żadne nie jest do niej gotowe. Ściśle biorąc, od kampanii francusko-pruskiej pomnażanie i udoskonalanie sił militarnych trwa ciągle i bez przerwy; ostatnie wszakże lata, skutkiem gruntownej zmiany w systemie broni palnej (karabiny Manlichera, Mausera i Löbla) oraz wynalezienia prochu bezdymnego rozpoczęły epokę tak daleko sięgających reform w tym kierunku, że one nieprędko będą zamknięte. Naprzód nie wszystkie państwa posiadają już udoskonalony oręż, żadne zaś w odpowiedniej ilości; powtóre ustawicznie powtarzają się jeszcze poprawki w jego budowie i fabrykacyi, które opóźniają reorganizacyę. Na papierze pewien szereg liter i cyfr może szybko zaopatrzyć milionową armię w nowe strzelby; ale w praktyce odbywa się to daleko wolniej. Wypróbować najrozmaitsze modele, wybrać najlepszy, wyrobić setki tysięcy sztuk, rozdać żołnierzom, nauczyć ich umiejętnego obchodzenia się z nieznanym przyrządem — wszystko to wymaga czasu, bardzo długiego czasu. Zważmy bowiem, że armia nie składa się z samych ludzi inteligentnych, lecz w znacznej przewadze z prostych, którzy zaledwie po miesiącach ćwiczenia zdołają właściwie posługiwać się nigdy przedtem niewidzianą bronią. Wiadomo zaś, że nie dosyć mieć pewną ilość żołnierzy i równą ilość karabinów, trzeba nadto, ażeby ci żołnierze potrafili używać tych karabinów, inaczej będą oni przedstawiali taką siłę, jak gdyby im dano do rąk kije.

Jeżeli tedy żadne z państw europejskich nie zaprowadziło u siebie udoskonalonej broni w całej armii i żadne nie wykształciło odpowiednio żołnierza, pragnienie pokoju jest objawem bardzo naturalnym i trwać będzie dopóty, dopóki rozpoczęta a tak trudna, koztowna i z wielu zawadami połączona sprawa uzbrojeń, nie zostanie załatwiona. Mówimy: z zawodami, nie mając na myśli jakichś fuszerek w fabrykacyi, jakichś *Judenflinten*, lecz niespodzianki, wynikające z samej niedojrzałości wynalazków. Tak np. przekonano się, że proch bezdymny nie wytrzymuje długiego przechowywania i psuje się prawie w połowie. Wyobraźcie sobie tedy możliwości, że ten lub ów korpus podczas bitwy nie mógłby wcale strzelać; naturalnie zagnanoby go do niewoli jak bezbronną gromadę. A chociaż znawcy wypowiedzieli już wiele kompetentnych sądów zarówno o prochu bezdymnym, jak o nowych karabinach, konieczna przezorność widzi jeszcze w nich mnóstwo zagadek, które rozwiążą się dopiero kiedyś na placu bojowym.

Oto jest najważniejszy powód noworocznych zapewnień pokojowych, którym wierzyć trzeba i których nie osłabi nawet wiosna, ta pora corocznego posiewu obaw i przepowiedni wojny. Być może zresztą, że nadchodząca mniej będzie pod tym względem szczodra. Ustąpił z pola główny siewca trwogi — ks. Bismark, który stale ją podniecał dla osiągnięcia swych celów politycznych. Wejdzie w jego ślady Caprivi podczas obrad sejmowych nad projektem pomnożenia armii, gdyż bez wskazywania „chmur“ nie zdołałby on go przeprowadzić, przypuszczamy jednak, że on je będzie wskazywał na dalekim widnokręgu i że nie zbudzi takiego popłochu, jak jego poprzednik, który w jednej ręce trzymał pochodnię, a w drugiej rękaw sikawki, szybko gaszącej wzniecony pożar.

O ile więc rachuby ludzkie, oparte na rozważaniu prawdopodobieństw nie mylą, rok bieżący dojdzie do końca w pokoju. Będzie on wprawdzie dalszym ciągiem okresu nowych uzbrojeń, reform wojskowych doskonalenia oręży, powiększania zastępów itd., ale nie doczeka skutków tego przełomu, których świadkami będą dopiero jego następcy.

BURZA PANAMSKA.

Paryż, 1 stycznia.

Le vin est tiré, il faut le boire! Przedstawiciele Rzeczpospolitej cofnęliby chętnie okropny szereg wypadków z ostatnich dwu miesięcy, ale, niestety, jest już za późno. Biegł on szybko z jakimś tragicznym fatalizmem i teraz stanowczo wyszedł w swych skutkach z pod wszelkiego kierownictwa. Pozostaje ratować za wszelką cenę Rzeczpospolitę, wyrzucając ze skołatanej jej nawy wszelki balast, chociażby najdroższy. Rząd to zrozumiał. Po aresztowaniu administratorów Panamy, pociągnął do odpowiedzialności deputowanych, senatorów i ministrów. Sądzono, iż początkowe ofiary były *coup de théatre*, przeznaczonym dla odwrócenia uwagi opinii publicznej od znaczniejszych winowajców. Po ostatnich wszakże hekatombach najbardziej sceptyczni zmienili pogląd: niezgięta wola rządu dokonania dzieła sprawiedliwości stała się oczywistą. Odłożono na bok wszelkie względy osobiste i stronnicze, niedawną przyjaźń i wielkie często zasługi. Nastąpiła era nieubłaganych egzekucyj. Wobec przykrych scen, które się przesuwają, jest to myśl pocieszająca. Rzeczpospolita niesie śmiało, własnemi rękami, żelazo ku ranie, która się krwawi na jej boku, zasłaniając się od napaści wrogów wymiarem surowej sprawiedliwości przeciw własnym swym podporom. Honor jej pozostanie nietknięty, ale trudno orzec, ile ona ucierpi na tej próbie, a nawet czy wyjdzie z niej cało. To tylko pewna, że jesteśmy wobec potężnego przesilenia. Cała budowa państwa wstrząśnięta jest w swych podstawach, najpowniejsze jej kolumny trzeszczą ze wszech stron i pękają. Oportuniści i radykaliści są zrujnowani w głównych swych przedstawicielach. Nie chodzi nam tu zresztą o jednostki. Byłoby rzeczą zbyt pospieszną wypowiadać w tym względzie jakiekolwiek zdanie, gdyż sądy, którym sprawę powierzono, nie orzekły jeszcze ostatniego słowa. Dostatecznie się wszakże ona wyjaśniła, abyśmy mogli ocenić ogólne położenie wobec bliskich wyborów. Przypomnijmy naprzód główne fakty.

Kampanię przeciw powolności rządu w sprawie panamskiej rozpoczął dziennik Drumonta „La libre parole.“ Przytaczane dowody sprzedajności były tak rażące, iż opinia publiczna mocno się poruszyła i minister Ricard chciał tym czynem „uczciwości“ torować sobie drogę do prezydentury Rzeczpospolitej: wszak Carnot pod temże hasłem bez żadnych szczególnych zasług poprzednio wybrany został. Minister sprawiedliwości zapomniał wszakże o łacińskiem przysłowiu: *non bis in idem*. W danym razie zbytnia uczciwość była dlań zgubą, gdyż miała się wywrzeć kosztem wielkich mocarzy. Kolosalne rozmiary oszustw panamskich były swego rodzaju tarczą dla ich sprawców. Czyn Ricarda doprowadził ich do wściekłości. Syknęli więc zapomocą „Cocarde'y,“ iż Floquet otrzymał z kasy towarzystwa 300,000 fr. na potrzeby rządowe, gdy stał na czele gabinetu. Chciano w ten sposób nastraszyć rząd, w nadziei, iż wymiar sprawiedliwości zawieszony zostanie. Zresztą Karol Lesseps, syn Ferdynanda, dał wyraźnie do zrozumienia, że skompromituje wszystkich wybitniejszych przedstawicieli. Wprawdzie Floquet zapewnił Izbę natychmiast, iż ma „ręce czyste i sumienie spokojne,“ ale groźba była zbyt poważna: rząd zaczął się cofać. Sprawa jednak wyszła już z pod jego kierownictwa i bulanżysta Delahaye wydarł Izbie zgodę na ustanowienie komisyi, mającej zbadać nadużycia panamskie i udział w nich deputowanych. Naraz rozeszła się wieść o śmierci Reinacha. Niemiec z urodzenia, naturalizowany francuz, baron włoski, kosmopolityczny ten finansista uchodził za głównego organizatora zepsucia w parlamencie. Wszystko każe przypuszczać, że ten handlarz ludzkiem sumieniem był swego rodzaju „uczciwym meklerem“ i że umarł, uważając sobie śmierć za punkt honoru w okropnem położeniu, w którem się znalazł. A mianowicie, książka, zawierająca dowody sprzedajności członków parlamentu i talon rozdanych im czeków, skradzione mu zostały. Za autora tej kradzieży uważany jest Korneliusz Herz, inny finansista, wróg Reinacha, postać zadziwiająca, Mefisto, który przedziewa się w kształty uczonego, bankiera, dyplomaty, ma szeroko rozgałęzione stosunki w sferach najwyższych, sieje tysiącami, zdobywa najwyższe oznaki honorowe, pomimo że wszędzie uważany jest za osobę nader podejrzaną, prawie szpiega. Crispi opowiada, iż przed trzema laty Herz zjawił się doń, ofiarując swe pośrednictwo dla pogodzenia Francyi z Włochami... Jest to prawdziwy bohater romansu Balzaka, albo raczej Hofmana, fantastyczny w swej realności. Otóż on miał ukraść powyższe dowody i odprzedać je przestraszonemu Reinachowi za 600,000 fr. Odfotografował je wszakże naprzód i wręczył kopie Constansowi i Andrieux'mu. Z tych źródeł dowody przenikały do „Libre Parole,“ która po kolei oskarżała A. Prousta, Laguerre'a, Couteaux, de Castellane'a, Hebrarda i innych deputowanych, załączając odbitki autentyczne dowodów. Zrozpaczony Reinach, któremu nie można odmówić swego rodzaju uczciwości w zbrodni, pozbawił się życia, Korneliusz Herz i Arton, inny pośrednik w przekupywaniu ludzi politycznych, zniknęli. Rodzina zmarłego objaśniała jego śmierć apopleksyą, a przestraszony rząd odmówił sekcyi zwłok, wymaganej przez głos publiczny. Znaleźli się bowiem tacy, co widzieli barona żywym w Kolonii, inni twierdzili, iż grób, nad którym krewni przelewali potoki łez, napełniony był kamieniami i niesprzedanemi akcyami Panamy. Rząd odmówił także komisyi parlamentarnej pomocy w prowadzeniu śledztwa, a Karol Lesseps drwiąco nie chciał wprost stawić się przed nią.

Gabinet Loubeta nie mógł wszakże oprzeć się długo potokowi wzburzonej opinii i upadł. Nowy zaś Ribota oświadczył przez usta swego ministra sprawiedliwości, Leona Bourgeois, iż wszystkim wymaganiom komisyi zadość uczyni. Jakoż istotnie aresztowano zarządców Panamy i wykryto natychmiast u bankiera Thierrée 26 czeków, świadczących między innemi, że 10 członków parlamentu brało łapówki. Rząd zwrócił się do Izby i Senatu z wymaganiem, aby mu pozwolono pociągnąć do śledztwa oskarżonych, śród których znajduje się 5 byłych ministrów: Rouvier, J. Roche, Proust, Devès i Thevenet, na co zgodę parlamentu otrzymał. Odpowiednie posiedzenie Izby miało tragiczną wielkość przypominającą czasy Konwencyi. Posypały się nowe oskarżenia: bulanżyści Deroulède i Millavoye obwiniali Clémenceau, iż biorąc pieniądze na dziennik *Justice* od Herza, który wrzekomo miał być niemieckim agentem, zdradzał ojczyznę. Oskarżenie, na niczem zresztą nieoparte, które zakończyło się pojedynkiem — jak zwykle.

Słuszniej daleko podniósł Andrieux poprzednio wystawiony zarzut przeciw Floquetowi, iż brał z kas Panamy pieniądze na potrzeby rządu. Ten ostatni bronił się tem, iż nie biorąc ani grosza, wpływał tylko na podział środków przeznaczonych dla

---

Włodzimierz Wysocki.

BOCIAN.*)

Spojrzyj: to zgliszcze, te smutne ruiny,
Przy których, ręce załamując, płaczę;
Te gruzy straszne, w których dziś gadziny
Mają siedliska i huczą puhacze;
Ten sad, topole i lipy, niestety,
Nagie, zczerniałe, bez liści korony
I tak stojące nieme, jak szkielety
Z podniesionymi w rozpaczy ramiony;
Ach, to pustkowie czarne od pożaru,
Gdzie dzisiaj nawet ptak nie zaszczebioce,
Było niedawno pełną życia, gwaru
Zagrodą naszą. Dziś mury sieroce,
Patrzące na cię niby kościotrupy
Oczodołami potłuczonych okien,
Oplata zielsko, a gzemsy i słupy
Zasnuwa gęsta sieć pajęczych włókien!
Ot tu, przy bramie, pod owym jaworem
Stała kapliczka; w niej statua Jana
Świętego, który trzymał straż nad dworem;
Patrz, ta kapliczka napół zrujnowana,
A święty, zrzucon z swego piedestału,
Leży wśród gruzów nawznak i oczyma
Nieruchomemi, lecz pełnemi żalu
Spogląda w niebo—i palmę swą trzyma...
Dalej dziedziniec... W głębi duży, biały
Stał dom. Śpichlerze, rzęd oficyn długi,
Wkoło dziedziniec wielki otaczały.
Tu się roiła służba, goście, cugi,
A dwór jasnemi oknami, wesoło
Patrzał na ruch ten, na to ludzi mrowie,
Wznosząc pogodne białych murów czoło.
— Dziś tutaj cisza grobów i pustkowie!..
Czy słońce wschodzi — nikt go tu nie wita,
Czyli zachodzi — nie żegna wzruszony,
Tylko ruina, szczerbami okryta,
Długi cień rzuca z tej lub owej strony
I tylko czasem oderwana cegła
Zleci z łoskotem i na gruzy spada,
Budząc wśród ciszy, która tu zaległa,
Pełne rozpaczy echa: biada!.. biada!..
Ach, owo zgliszcze, na które dziś patrzę,
Ożywia w duszy mojej wspomnień tyle!
I chyba sama śmierć w pamięci zatrze
Ostatnie w domu tym spędzone chwile!
Pomnę: w salonie okna przysłoniono,
Zakryto lustra i panują zmroki.
Widzę katafalk, przy nim świece płoną,
Na katafalku leżą ojca zwłoki.
Ledwie poznaję w nich swego rodzica!
Patrzę na ręce złożone, z obrazkiem,
Na twarz wychudłą, żółtą jak gromnica,
Co zda się ruszać chwiejnym świec odblaskiem;
Patrzę na dymek snujący się z knotów,
Który mgłą ciężką zawisa w komnacie,
Na tajemniczą mroczność ścian, przedmiotów,
Na sposępniałe portretów postacie,
Które z ram dużych, wiszących na ścianie,
Mrugają ku mnie tak żywo a smutnie,
Jakby panowie ci i strojne panie
Nagle ożyli na swem ciemnem płótnie.
Patrzę na twarze nieznanych mi ludzi,
Którzy w milczeniu tłoczą się przy trumnie,
Wśród nich największą ciekawość mą budzi
Słuszny pan jakiś, co wrogo i dumnie
Spogląda na mnie i siostrzyczkę moją,
Z którą, za ręce pobrawszy się, stoim.
Czuję, że tego pana tu się boję,
A ktoś mi szepce, że jest stryjem moim.
— Stryjem?—drżącemi powtórzyłem wargi,
Nigdym go w naszej nie widział zagrodzie,
Ale wiedziałem, że jakieś zatargi
Miał z moim ojcem, że nie byli w zgodzie.
— Co on tu robi na jego pogrzebie? —
Zadaję sobie w milczeniu pytanie;
Tymczasem słyszę szepty obok siebie:
„Biedne sierotki! co się z niemi stanie?“
Patrzę na wszystkich, nie mogąc zdać sprawy
Z tego, co słyszę i co się tu stało;
Tylko pod wpływem bezwiednej obawy
Tulę do siebie mają siostrę małą,

*) Opowiadanie to osnułem na gadce, którą przed laty słyszałem między ludem.

prasy w sposób dogodny dla rządu. Również także chciał dowodzić, iż czerpał w kasach Panamy jedynie dla celów politycznych, a mianowicie, aby popierać kandydatów republikańskich. Ale żeby ten człowiek szlachetny mógł w ten sposób postawić swój kredyt osobisty do usług Rzeczpospolitej, trzeba byłoby udowodnić, iż za czasów jego prezydentury (w 1887 r.) odbywały się wybory. Otóż nigdzie ich nie było. Cóż się staje w takim razie ze wszystkiemi jego historyami o niedostateczności funduszów tajemnych, o bankierach zbawcach, o walkach rospaczliwych za Rzeczpospolitę? Podejrzenie, iż Rouvier brał pieniądze dla siebie, iż sprzedawał swe wpływy i frymarczył wysokiem swem stanowiskiem, jest tem słuszniejsze, że osobiście towarzyszył Reinachowi do Constansa i Korneliusza Herza, prosząc, aby zaniechali publikacyi dowodów. Ta interwencya na korzyść człowieka, którego sprawiedliwość ścigała za oszustwa, którego głos publiczny, wyprzedzając sędziów, oddawna obwiniał, na którego wszyscy wskazywali, jako na głównego organizatora zepsucia w parlamencie i główne narzędzie ruiny tysięców biedaków — dowodzi, iż Rouvier miał wielkie zobowiązania względem Reinacha i że mu przysługi tej odmówić nie mógł, jakkolwiek był członkiem rządu. Nareszcie w przeddzień zamknięcia sesyi parlamentarnej Deroulède i Millevoye zwrócili się do Ribota, żądając, aby wyraził swe zdanie co do praktyk rządowych, uświęconych przez Floqueta i Rouviera. Prezes gabinetu znalazł się w bardzo trudnem położeniu: z jednej strony nie chciał bronić postępowania oskarżonych, z drugiej wszakże nie chciał ostatecznie potępiać Floqueta, co byłoby wodą na młyn bulanżystów; użył więc wybiegu, iż nie ma potrzeby zapuszczania się w rozprawy teoretyczne o tem, co rządowi jest pozwolone, a co nie, wskazał natomiast, iż nie czyni sobie żadnych złudzeń co do celów interpelacyi. Jest to wznowienie agitacyi bulanżystowskiej. „Znamy wartość—mówił Ribot — pewnych rygoryzmów okolicznościowych i spóźnionej cnoty, które teraz na scenę występują. Dąży się tu do celów politycznych, które nic wspólnego nie mają z wymiarem sprawiedliwości.“ Rząd otrzymał wotum zaufania i pośpieszył zamknąć sesyę, ale przedtem Andrieux puścił w jego stronę strzałę partyjską, oświadczywszy, iż w liście 104 deputowanych skompromitowanych, którą posiada w swem ręku, jest jedno imię człowieka nader wysoko postawionego. Nazwiska tego w żaden sposób nie wymieni; skromność, cnota, miłość ojczyzny mu nie pozwalają. Ale w tem ociąganiu się i kokieteryi czynił wszystko, aby wskazać na Freycineta. Rozpoczęły się z tego powodu nowe rozprawy w Izbie, ale rząd pośpieszył je przeciąć zamknięciem sesyi. Nie wiadomo, o ile insynuacya ta jest słuszna i wogóle trzeba nadzwyczaj ostrożnie przyjmować wszelkie oskarżenia, które ze wszystkich stron wypełzają. Gdyby ci ludzie nowi byli lepsi od ofiar, które za ich powodem padają, moglibyśmy im przyklaskiwać. Ale któż to są ci Arystydesi? Dawni bulanżyści, bez czci i wiary, znani tylko ze swej bezczelności i kupka republikanów, współwinowajców, którzy jeszcze przyłapani nie zostali i chcą gardłowaniem zakryć swe tchórzowstwo i odwrócić uwagę. Co chwila rzucany jest do otchłani jeden człowiek za drugim, a ci, co stoją na brzegu, wołają ze świętem oburzeniem: „podły, nikczemny“ — ale wszak są to tylko stronnicy, współwinowajcy i dłużnicy tych, co giną. Cała ta komedya obłudy wstręt tylko budzi. Kłamstwem jest prawość niepokalana Brissona, gorący republikanizm Ribota, patryotyczna boleść rojalistów i ich litość nad drobnymi akcyonaryuszami Panamy. Kłamstwem szlachetne oburzenie i surowość wczorajszych przyjaciół Rouviera i Floqueta. Nikt tu nie dba ani o interesy biedaków, ani o honor Francyi — i dlatego mieszczańscy świętoszkowie tylko ohydę budzą, a wstręt dochodzi wprost do mdłości, gdy widzimy takich ludzi, jak Andrieux, prostytuki polityczne, dowódcę *mouchardów*, jakim sam się przedstawia w swych *Pamiętnikach*, występujących w roli oskarżycieli publicznych i wylewających żółć i sarkazmy zranionego patryotyzmu. *Gaulois*, organ nadzwyczaj sprzyjający Andrieux'omu, dając bałwochwalczą charakterystykę tego bohatera, powiada, iż w tem ciele mężczyzny mieści się dusza—kokoty, co ma być nader „distingué.“ Ale przejdźmy do ogólnego położenia. Gdy pewien parlament doszedł do tego, iż połowa członków oskarża drugą i gdy połowa oskarżycieli jest sama pod podejrzeniem; gdy prezydent Izby jest zmuszony wchodzić na trybunę, aby się bronić i gdy się broni przyznaniem, że nie można rządzić, nie podkupując prasy; gdy były prezydent gabinetu toż samo powtarza; gdy nareszcie istnieją dowody, że 104 deputowanych i senatorów brało pieniądze od bankierów, pieniądze ogołoconych biedaków — to dla zakończenia skandalu trzeba rozpuścić taki parlament i zwołać nowy. Jest to jedyny sposób wyjścia z błota. Powstrzymywać jednak będzie od energicznego kroku obawa monarchistów — hr. Paryża i książę Wiktor kryją się za obecnymi denuncyantami — ale monarchiści są nie mniej skompromitowani, niż republikanie. Zdaniem *Tempsa*, nie oni są straszni, lecz socyaliści, którzy zagarną wszystkie stanowiska, utrwalone przez inne stronnictwa.

Eipon

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zupełnie prawie zatamowały święta dość zresztą płytki i wązki potok wypadków politycznych. Bardziej rozmyślano nad działaniem, niż działano. A rozmyślano najbardziej we Francyi, zabłoconej sprawą panamską. Ludzie, którzy nie mają do zmycia ze swych rąk żadnej plamy lub wydobycia się z matni, szukają drogi wyjścia z błędnego koła, któraby zaprowadziła przed sąd rzeczywiście winnych, nie pozwoliła rozszerzać się oszczerstwu i okiełznała żywioły, spekulujące na rozstrój ogólny, ażeby z niego wyciągnąć dla siebie korzyść. Ten ostatni kłopot jest najpoważniejszy. Nie ulega bowiem wątpliwości, że odkrycie łapownictwa tylu dostojników zniesławiło nietylko ich samych, ale grunt, na którym stali, mianowicie Rzeczpospolitę. Jest to zbyt dobra sposobność ażeby nie mieli jej wyzyskać rozmaici pretendenci, awanturnicy, rybacy mętnej wody i osobniki ambitne, pragnące na wierzch wypłynąć, wreszcie wszystkie te fusy moralne, które spoczywają na dnie każdego narodu, a we Francyi tworzą jeszcze grubszą warstwę, niż gdzieindziej. Dnia 10 b. m. zbierają się Izby; otóż przed ich gmachami ma być dokonana gwałtowna demonstracya całej tej mieszaniny dla wywarcia nacisku na rząd, ażeby rozwiązał parlament, w którym tylu znalazło się łapowników i rozpisał nowe wybory. Rzeczywiście tak by należało uczynić — jak słusznie dowodzi nasz korespondent francuski — ale stróże Rzeczpospolitej zasadnie pytają: czy ona wyszłaby zwycięzką z tych wyborów po hańbie

---

Która podniosła ku mnie oczki duże,
Jak gdyby prosząc o pomoc, czy radę
I roztuliła usteczek swych róże
Takie zdziwione dziś i takie blade!
Wreszcie ruszyli księża ze śpiewami,
Za nimi trumna z milczącą gromadką,
Dwór opustoszał, zostaliśmy sami
Z trapiącą serca dziecinne zagadką.
Strach nas ogarniał w tej olbrzymiej sali
Pustej i mrocznej, okrytej całunem;
Wtem ów stryj wchodzi i woła: „Hej, mali!
Słuchać mię!.. Jestem waszym opiekunem!“

* * *

Rok nie upłynął — a już jaka zmiana
Była we dworze! Stryj nic nie oszczędzał!
Najpierw nad sobą pięść nowego pana
Uczuła służba, którą porozpędzał;
W pierwszym tygodniu po ojca pogrzebie
Nawet piastunce, staruszce Agacie
Kazał się wynieść! Wkrótce koło siebie
Mieliśmy tylko nieznane postacie
I tylko obce i niechętne twarze,
Co w nas wzmagało sieroctwa uczucie,
Którem niekiedy niebo dzieciom każe
Winy rodziców zmyć w ciężkiej pokucie.
Z rozkazu stryja byliśmy zmuszeni
Wkrótce opuścić nasz pokoik ładny.
Nas pomieszczono w piekarnianej sieni
I jeść dawano nam w izbie czeladnej.
Mieliśmy chleba suchego okrawki
I na barłogu słomianym spoczynek;
Zaś nasz pokoik i nawet zabawki
Posiadał teraz opiekuna synek.
Jak liście drzewa, gdy mu uschnie korzeń,
Więdliśmy w nędzy, niszczeli w niedoli;
Ileż ucisku, wzgardy, upokorzeń,
Ile doznali dzikiej samowoli!
I nie mieliśmy poskarżyć się komu,
Ani o pomoc zawołać do kogo:
Wszyscy dziś byli obcy w naszym domu,
I wszyscy na nas spoglądali wrogo.
Siostra, ode mnie młodsza o dwa lata,
Marniała w oczach, jak kwiatek bez słońca;
Często wołała przez sen: tata! tata!
Lecz we dnie była smutna i milcząca.
Ona, z twarzyczki której nigdy prawie
Dawniej nie schodził uśmiech — ta szczebiotka
Dziś zapomniała nawet o zabawie!
Z ust jej nie wyszła ani jedna zwrotka
Dawnych piosenek, i uśmiechy znikły,
A cichy smutek, głęboka tęsknota
Na tej dziecinie, do smutków niezwykłej,
Wyryły znamię wyraźne: „sierota!“
Raz jeden, niby słońce przed zachodem,
Uśmiech wesela błysnął na niej przecie;
Krótkiej radości tej była powodem
Lalka, co z dworu wymietli-na śmiecie.
Jej własna lalka, jedna z owych lalek,
Którą z innemi po nas zabawkami
Zagarnął sobie stryjowy synalek.
Teraz zniszczona, okryta strzępkami
Leżała w śmieciu zabrukana, zmięta.
Gdy ją siostrzyczka obaczyła zdala,
Podbiegła, w małe porwała rączęta,
Krzycząc radośnie: „Lala moja! lala!“
I tuląc szczątki kochanego cacka,
Poczęła pieścić, całować, szczęśliwa.
Nagle syn stryja wypada znienacka
— To moja!— krzyknął — za lalkę porywa
A tak ją targnął, że biedaczka moja
Upadła. Spojrzę: krew płynie z twarzyczki!
Więc się rzuciłem na małego zbója
I nuż mu tęgie wymierzać policzki,
Nuż go za włosy! Byliśmy rówieśni,
Ale ja, krzywdą siostry oszalały,
Miałem przewagę nad nim, i nie wcześniej
Włosy się jego z rąk mych wyplątały,
Aż służba wreszcie rozwarła nas siłą.
Wtem stryj nadbieżał. Miał dzikie wejrzenie,
Coś tygrysiego w oczach mu świeciło...
Podniósł nade mną kułaki. „Ha, szczenię!—
Syknął przez zęby—śmiesz tykać, zuchwalcze,
Mojego syna!.. hejże, rózgi! baty!
Ja was nauczę, wypłodki padalcze!
Na stajnię z nimi!.. potroszczyć im gnaty!..“
Ale już siostrę chwyciłem za ramię
I nim się służba mogła na nas rzucić,
Juześmy biegli coprędzej ku bramie,
Ażeby nigdy do domu nie wrócić.

(D. n.).

panamskiej? Rozpuszczono pogłoskę, że pretendenci (bonapartyści i orleaniści) przygotowali już manifesty; są to tylko strachy, które jednak w dalszym biegu wypadków mogłyby wytworzyć dla republikanów istotną groźbę.

Przyjmując noworoczne życzenia, cesarz niemiecki zaakcentował ponownie konieczność przeprowadzenia projektu rządowego w przedmiocie reformy wojskowej. Z tych oświadczeń widać, że nie myśli on uledz przeciwnej woli sejmu. To też opinia niemiecka jest przygotowana na poważne starcie i na ustąpienie Capriviego, który, według jednych, zajmuje się ogródkiem około pałacu kanclerskiego, a według innych — nie zajmuje się, z czego wyciągane są wróżby trwałości jego stanowiska. Naturalnie są to ploteczki reporterskie, świadczą jednak o ogólnej wierze w możliwość ostrej walki i doniosłych jej następstw.

Jest to drugi wypadek, w którym wypróbuje się moralna siła młodego monarchy, owa jego „wola“, która według niego ma być „najwyższem prawem“, owa energia, wyrażona raz zdaniem: „kto mi się oprze — tego zmiażdżę.“ Istotnie zmiażdżył opornego Bismarka, ale mógł to uczynić mocą swej władzy. Inna sprawa z parlamentem, który nawet otrzymawszy dymisyę, powraca znowu, a tym razem powróciłby prawdopodobnie w gorszym składzie.

Stronnictwo centrum, rozstrzygające obecnie w sejmie niemieckim losy wszystkich spraw, a więc i projektu wojskowego, straciło drugiego przywódcę — Piotra Reichenspergera. Nie był to polityk równy Windthorstowi, był jednak osobistością wybitną, a zeszedł ze świata w chwili, kiedy partya najbardziej potrzebuje rozumnych doradców. Weszła ona bowiem w nowe położenie, w którem poprostu może zginąć, rozłożywszy się na swe pierwiastki składowe.

Podobno w Wiedniu odbywają się narady — za przykładem bogów berlińskich — nad skróceniem służby wojskowej do lat dwu z jednoczesnem — rozumie się — powiększeniem armii. Ale chyba uczniowie wstrzymają się z ostateczną uchwałą do czasu, gdy podobne przedsięwzięcie uda się mistrzom.

LITERATURA I SZTUKA.

NIETZSCHEANIZM.

Wiedeń, 31 grudnia.

I.

„Dałem ludzkości najgłębszą książkę, jaką posiada; dam jej jeszcze najjaśniejszą.“

Słowa te mógł wypowiedzieć geniusz, upojony świadomością swej siły, lub też — waryat. Ten, co je wypowiedział, był jednocześnie waryatem i geniuszem. Mówię, „był,“ chociaż żyje dotychczas, bo dziś jest on już tylko nieszczęśliwą istotą, dogorywającą wśród murów niemieckiego zakładu psychiatrycznego, bardziej do zwierząt, niż do ludzi podobną.

Nie był on widocznie stworzonym do pisania rzeczy jasnych, gdyż właśnie przy pracy nad owem dziełem „najjaśniejszem“ utracił rozum. Nie mógł więc wytłomaczyć ludzkości swych myśli „głębokich,“ tak głębokich istotnie, że nikt jeszcze dotychczas do dna ich dotrzeć nie potrafił i nie stwierdził, czy na dnie ich spoczywa nowa prawda, czy komunał, czy też wreszcie obłęd. Dzieła jego pozostały zagadką w kilkunastu tomach.

A jednak dzieła te należą dziś już do najważniejszych czynników współczesnego życia umysłowego. Wcisnęły one głębokie piętno na wszystkiem, co napisano w ostatnich latach w Niemczech i w krajach skandynawskich. Wzięte z nich hasła rozchodzą się coraz dalej i odzywają się coraz częściej w literaturach zagranicznych. Podczas gdy ów nieszczęśliwiec — jak opowiadał niedawno lekarz jego — zdrętwiałym językiem bełkocze ciągle, zwracając się z idyotycznym uśmiechem na ustach do swych towarzyszów niedoli: „Messieurs, Messieurs! Czem jest rozum ludzki?“ — młode pokolenie niemieckie okrzyknęło go swym wodzem, następcą Schopenhauera, pierwszym myślicielem stulecia.

Mówię o Fryderyku Nietzschem. Nazwisko to jest dziś powszechnie znane. Można się spotkać z niem nawet na łamach *Figara* paryskiego, dokąd sława filozofów niemieckich dochodzi z pewnością najpóźniej na kuli ziemskiej. W Niemczech istnieje dziś osobna literatura o Nietzschem i jego filozofii, a obok niej druga, będąca wypływem „nietzscheanizmu.“ Każda z nich, a szczególnie ostatnia wydaje corocznie szereg dzieł, broszur i artykułów, czasem wielce uwagi godnych. Pomówię tu o kilku, które wyszły w ciągu minionego roku.

W jednej ze swych bajek opowiada Andersen o cieniu, który odłączył się od swego pana, rozpoczął żyć samoistnie i doszedł z czasem do takiego stanowiska w świecie, że przyjął pana swego do służby i gdy ten stał mu się niewygodnym, kazał go w końcu stracić. Podobną do tego opowiadania jest czasem historya systemów filozoficznych. Mają one od chwili zjawienia się nieodstępnego towarzysza o kształtach nieuchwytnych i zmiennych, towarzysza podobnego do nich w pewnych porach a w innych znów będącego potworną ich karykaturą, zawsze jednak posuwającego się za postacią ludzką. Jest to forma, którą przybierają myśli genialnej jednostki, gdy odbijają się w umysłach ogółu, przesiąkają w atmosferę czasu, przechodzą z ust do ust, przyczem bywają podawane dalej przez wielu takich, którzy nie zapoznali i nie zapoznają się nigdy w życiu z pierwotną i właściwą ich treścią lub osnową. Tak to obok filozofii Hegla istniał swego czasu heglianizm, obok systemu Schopenhauera — schopenhaueryzm, obok nauki Darwina — darwinizm. Cienie te rosną, olbrzymieją z czasem i — odrywają się wreszcie od swych żywych pierwowzorów. Wówczas nie należy już szukać w nich podobieństwa do tych ostatnich, gdyż żyją życiem własnem i rozwijają się samoistnie. Czy to, co w oczach subjekta handlowego lub modniarki, a nawet średnio „wykształconych“ pań i panów jest dziś „darwinizmem,“ odpowiada istotnie poglądom uczonego angielskiego? A jednak ten „darwinizm“ jest czemś więcej, niżeli tylko karykaturą — jest on czynnikiem, z którym liczyć się wypada, faktem historycznym, kto wie, czy nie ważniejszym, niż prace Darwina, potęgą umysłową i moralną.

Tak też obok filozofii Nietzschego istnieje „nietzscheanizm“, jako osobny system myśli. Przyznaję, że wydaje mi się on nawet o wiele bardziej zajmującym, niż teorye myśliciela niemieckiego, które dały mu nazwę i początek.

O ile poglądy Nietzschego są mgliste, zagadkowe, bezustannie z sobą sprzeczne, o tyle nietzscheanizm jest kierunkiem myśli prostym, jasnym i konsekwentnym. Tak dalece konsekwentnym że na kilku punktach dochodzi do wniosków wprost przeciwnych, niż te, do których doszedł był jego twórca.

Streścić filozofię Nietzschego jest rzeczą prawie niepodobną. Probował tego dotychczas Jerzy Brandes, Jerzy Adler i Ola Hansson. Żaden z nich nie podołał zadaniu w zupełności, chociaż system myśliciela niemieckiego — jeśli tu o „systemie“ mówić można — składa się zaledwie z kilku zdań, powtarzanych bez końca w różnych dziełach. Nietzsche nie jest bowiem filozofem w ścisłem tego słowa znaczeniu, lecz wyłącznie „moralistą,“ a jego system nie stanowi konstrukcyi logicznej, lecz raczej wytwór wyobraźni i intuicyi. Jeśli chcemy ująć go w słowa inne, niż jego własne, postępujemy tak samo, jak gdybyśmy chcieli opowiedzieć treść sonetu Mickiewiczowskiego, wizyi Krasińskiego lub pieśni Heinego.

W tem znaczeniu jest Nietzsche jedynym prawdziwym poetą, żyjącym obecnie w Niemczech. W dziełach swych p. t. „Zur Genealogie der Moral,“ „Jenseits von Gut und Böse,“ „Götzendämmerung“ i innych stworzył jedną tylko postać, ale za to wspaniałą. Jest to jego sławny „Uebermensch“ — „nadczłowiek,“ jeśli chcemy zły wyraz niemiecki przetłomaczyć na złą polszczyznę. Oprócz postaci tej wszystko, co zawierają dzieła Nietzschego, jest bądź to mieszaniną mniej lub więcej trafnych paradoksów o życiu, historyi, sztuce, literaturze, czyli mówiąc krótko — o wszystkiem, bądź też zdumiewającem kuglarstwem, uskutecznionem za pomocą pojęć „zły,“ „dobry,“ „silny“ i „słaby.“ Pojęcia te tańczą przed naszemi oczami, jak kule podrzucane naprzemian z nadzwyczajną szybkością i tak zręcznie, że nie potrafilibyśmy nigdy powiedzieć na pewno, która właśnie znajduje się w powietrzu. Jeśli przypatrzymy się przez pewien czas temu widowisku, nader zajmującemu zresztą, doznamy lekkiego zawrotu głowy. Wówczas tu uczujemy odrazu, że umysł nasz funkcyonuje inaczej, niż zwykle i że wnioskując z pewnych rzeczy o innych, posługujemy się mimowoli jakąś logiką, której dotychczas nie znaliśmy wcale. Przy pomocy tej logiki dojdziemy w krótkim czasie do rezultatu, że litość jest uczuciem niemoralnem, a egoizm pierwszym obowiązkiem i najwyższym stopniem szlachetności. Przekonamy się wtedy, że przebaczenie jest rodzajem zemsty, a wdzięczność — obelgą. Rozumujemy tak samo, jak czasem latamy we śnie, dziwiąc się i nie dowierzając samym sobie. Jeśli odłożymy na bok dzieło Nietzschego, wrażenie to i skutek nie znikają odrazu, lecz trwają jeszcze przez czas pewien, aż — ockniemy się i wrócimy powoli do równowagi umysłowej. Tak potężną jest jednak indywidualność filozofa niemieckiego, tak olśniewającą oryginalność jego stylu, że mimo nabytych doświadczeń nie potrafimy oprzeć się ich suggestyi, gdy po raz drugi, trzeci lub dziesiąty weźmiemy znów do ręki którą z owych ksiąg zaklętych. Po kilku stronicach jesteśmy znów pod wpływem czaru i zaczynamy znów zastanawiać się nad dziwaczną kwestyą, czy wszystkie pojęcia moralne, zdobyte przez ludzkość w tysiącach lat rozwoju, nie są przypadkiem olbrzymiem złudzeniem, czy miłość bliźniego nie jest najgorszym grzechem, powinność — bajką, sumienie — chorobą.

Tak działa na nas Nietzsche jako myśliciel. Odmienny nieco jest stosunek nasz do niego jako poety. Postać, którą stworzył, chociaż wspominana bywa przezeń na każdej prawie stronie każdej z prac jego, przecież najwyraźniej występuje w dziele, pisanem w stylu przypowieści biblijnych p. t. „Tak rzekł Zaratustra“ (Also sprach Zarathustra). Jest to właśnie owa książka „najgłębsza na świecie“ — wedle własnej oceny autora. „Ktoś może powiedzieć o sobie, że przeczytał i zrozumiał choćby tylko sześć zdań w tem dziele, czyli że przeżył je, tego — wedle skromnych słów Nietzschego — zaliczyć należy do wyższego rodzaju śmiertelników.“

Otóż co do mnie, wyznać muszę, że nie zasłużyłem sobie na to zaszczytne miano. Przeczytałem wprawdzie wszystkie trzy tomy „Zaratustry,“ które wyszły w latach

poprzednich, przeczytałem też tom czwarty i ostatni, wydany w tym roku, lecz nietylko nie mógłbym twierdzić stanowczo, że zrozumiałem sześć zdań, ale nawet podejrzywam się, że nie zrozumiałem dokładnie ani jednego.

Mimo to zdaje mi się, że zrozumiałem całe dzieło. Można bowiem uchwycić sens tego dziwacznego utworu, w którym symbolizm najdzikszy rozrasta się bujnie kosztem logiki, bez pomocy rozumu, posługując się jedynie wyobraźnią. Mówiąc inaczej: wystarczy, jeśli czytelnik odczuje nastrój dzieła i jeśli przed oczami jego stanie postać Zaratustry.

Zaratustra — to święty pustelnik, który obrał sobie siedzibę na wierzchołkach gór, bo woli żyć z osłami, aniżeli z motłochem ludzkim. Zaratustra — to apostoł nowego dogmatu, który zwie się „niemoralnością,“ a którego główna zasada mieści się w słowach: „Człowieku, stań się twardym!“ Głosił on niegdyś wyznanie swe między ludźmi, lecz przekonał się, że świat jeszcze nie dojrzał do owych wielkich czasów i czynów, których on jest zwiastunem. Czeka więc, aż wyrośnie ród nowy, ród silny i wesoły, ród hardy, niekierujący się litością i względami moralnymi, niesłuchający głosu sumienia, nienaginający karku pod jarzmo prawa i powinności, lecz idący za popędem swych instynktów, ród nadludzki — „die Übermenschen.“

Nie daje to jeszcze zarysów postaci Zaratustry, ale też nie ma on wcale zarysów. Jest on olbrzymi i niewyraźny, jak owe mgliste postacie starych bogów germańskich. I ci ludzie, o których marzy ów apostoł „niemoralności“ (Immoral), przypominają dziwnie starożytnych bohaterów północnych owych Siegfriedów i Hagenów, barbarzyńców o instynktach nieujarzmionych, lecz szlachetnych. Podobieństwo staje się uderzającem w miejscach, w których Nietzsche, mówiąc o przyszłem pokoleniu, używa wyrazów: „die blonden Bestien.“

Określa on nawet kolor włosów odrodzonej ludzkości, bo jest poetą. Widzi przed sobą obrazy zamiast abstrakcyj, żywych ludzi — zamiast pojęć. Dlatego jest on też sympatyczniejszym w takich chwilach, niż wtedy, kiedy rozumuje. Wolimy poetę Nietzschego, niż myśliciela, bo nie doznajemy owego uczucia, które starałem się określić wyżej, nie zdaje się nam, że patrzymy na sztuki kuglarskie. Przesuwają się tu przed nami widziadła dziwaczne wprawdzie, lecz piękne. Możemy nawet zgodzić się częściowo z tendencyą poety i uznać jego olbrzymów, Zaratustrę i ów ród nadludzki wprawdzie nie jako ideały, lecz jako typy wysoko stojące. Są to ludzie, którzy działają dla tego, że chcą, a nie dla tego, że powinni, lecz którzy zawsze chcą działać tak, jak powinni.

Prócz czwartego tomu „Zaratustry“ rok ubiegły przyniósł jeszcze jedną pracę nader ważną dla zrozumienia filozofii Nietzschego. Jest to szkic biograficzno-krytyczny przyjaciółki autora, pani Lou Andreas-Salomé. Dziwną jest rzeczą, że filozof niemiecki, którego dzieła przepełnione są gorzkimi i wprost pogardliwymi aforyzmami o kobietach, nie miał nigdy przyjaciół, lecz tylko przyjaciółki. Najwięcej czasu swego spędzał on samotnie na spacerach po górach szwajcarskich, lecz jeśli znajdował się w towarzystwie, to najczęściej — w kobiecem.

Praca pani Andreas-Salomé jest najlepszą, jaką wogóle napisano dotychczas o Nietzschem. Zgotowała ona zapewne rozczarowanie skrajnym wielbicielom filozofa, podziwiającym oryginalność myśli jego i oddającym się złudzeniu, że one wyskoczyły z głowy mistrza zupełnie gotowe, jak Minerwa z czoła Jowisza. Przyjaciółka Nietzschego dowodzi bowiem, opierając się na jego listach i rozmowach, oraz zestawiając pierwsze i ostatnie jego dzieła, że owa sławna „filozofia niemoralności“ jest tylko ostatnim krokiem swego twórcy na długiej i uciążliwej drodze, przez którą przeszedł w ciągu wielu lat i że punktem wyjścia były dlań teorye wprost przeciwne.

Okazuje się— co zresztą dla uważnego czytelnika i przedtem było widoczne — że Nietzsche rozpoczął swą karyerę filozoficzną jako zwolennik Schopenhauera i pozytywista. Wierzył wówczas w postęp ludzkości, w możliwość rozwoju i uszlachetnienia ogółu, wierzył w indyjsko-chrześciańskie ideały Schopenhauera, czyli innemi słowy, pojmował moralność jako podbicie drapieżnych instynktów przez wolę ludzką, posuwał się nawet dalej, mianowicie aż do ascetycznych idei, zaczerpniętych przez Schopenhauera z budyzmu, a więc uważał jako ostatni cel moralny zupełne unicestwienie wszelkich popędów, a ludzkość przyszłą wyobrażał sobie jako „państwo rozumu,“ stojące pod rządami arystokracyi mędrców i uczonych.

Takim jest Nietzsche pierwotny. Jeśli chcemy teraz pojąć, co spowodowało tak olbrzymi przewrót w tych jego poglądach, co doprowadziło go do tego, że zwątpił o rozumie ludzkim, a zbawienie ludzkości ujrzał w zupełnem rozkiełznaniu instynktów, nawet najdrapieżniejszych, musimy uwzględnić z jednej strony nowe myśli, które wpłynęły nań silnie, z drugiej zaś — chorobę, ściskającą stopniowo coraz silniej, jakby żelazną obręczą, umysł jego, który naginał się stosownie do tego ucisku tak długo, aż musiał wreszcie prysnąć, mimo swej elastyczności.

(D. c. n.).

Ego.

NOWY UTWÓR IBSENA.

Berlin, 2 stycznia.

Ibsen widocznie postanowił zatartować się swoim czcicieli niemieckich, na których mu dzisiaj nie zbywa. Być bowiem ibsenistą należy tu obecnie wraz z nietzscheanizmem do niezbędnych rynsztunków każdego ducha „wolnego,“ tj. każdej istoty, która zbrzydziła sobie błoto codzienności mieszczańskiej (ale nie odsetki, pobierane z odziedziczonych kapitałów), a nadto chce być uznaną w dwudziestym roku życia za dziesiąte cudo świata. Każdy utwór poety skandynawskiego bywa w niektórych kołach witany z uniesieniem i niemal że stoimy w przededniu tej chwili, kiedy jakieś pismo specyalne będzie uprawiało kult osoby Ibsena, jego zaś zwolennicy zaczną pisać komentarze do utworów, a później komentarze do komentarzy. Otóż *Budowniczy Solness* jest takim łupem, przeznaczonym dla przyszłych objaśniaczów, czemś w rodzaju drugiej części Fausta. Jako utwór dramatyczny, przyznają nawet zagorzali ibseniści, jest to rzecz najsłabsza, jaką dotychczas napisał „mistrz sztuki nowożytnej.“ Istotnie, samo zadzierzgnięcie węzła dramatycznego odbywa się gdzieś w przeszłości, a w dramacie przesuwają się jedynie ostatnie drgania tej fali życiowej, która przyniosła i zgromadziła osoby działające i rozbija je o skałę. Przypatrzmy się treści. Bohater główny, budowniczy Solness, jest mistrzem swego kunsztu. Samouczek, głęboko wierzący, zaczął od wznoszenia świątyń wiejskich. Między innemi wybudował kościół w jednej miejscowości z wysoką wieżycą, na którą odważył się wejść mimo chorobliwego zawrotu głowy na pewnych wysokościach. Upojony oznakami czci i dziełem własnem, postanowił odtąd budować jedynie rzeczy wzniosłe. Atoli życie popłynęło inaczej i rozwiało zamiary. Budowniczy zamienił swoje natchnienie na codzienną prozę urządzania wygodnych domostw rodzinnych. Zyskał olbrzymią sławę i zdobył sobie miano mistrza. Już nie wchodzi na wyżyny z obawy spadnięcia. Atoli mniema, że sławę tę okupił zbyt drogo. Pożar ogarnął rodzinny dom jego żony, a z tego powodu utracił Solness później dwoje bliźniąt. Wtedy podzielił ogród na dwie części i pobudował wille, które dały początek jego powodzeniu. Odtąd zakłada tylko gniazdka rodzinne, w których ludzie żyją wygodnie. Ale sam go nie posiada, bo niema dzieci, obecność żony pognębia go, zwłaszcza że dom się spalił, o czem żona nie wie, skutkiem jego własnego niedbalstwa. Prócz wyrzutów sumienia, że pozbawił żonę możności ćwiczenia jej uzdolnień macierzyńsko - pedagogicznych, prócz obawy zawrotu głowy, gdyby wszedł na szczyt własnych swoich tworów, uczuwa on jeszcze bojaźń inną— przed młodem pokoleniem, że ono zniweczy jego sławę i obedrze go z tytułu mistrza. Usiłuje przeto powstrzymać jej wzbijanie się w górę. Jednego młodzieńca z niepospolitym talentem przykuwa do siebie w ten sposób, że dał miejsce jego ukochanej i za pomocą poddania myślowego czyni z niej swoją niewolnicę — przynajmniej duchową. W gruncie rzeczy uważa się za istotę chorą, a jednocześnie niezwykłą, tajemniczą. Zresztą jest zadowolony z siebie i dumny, a dręczy go tylko widok żony. Jej smutek przypisuje bowiem utracie dzieci, podczas gdy ona rzeczywiście pogodziła się z tą stratą i ubolewa jedynie nad tem, że spłonęły lalki, którémi lubiła się bawić; ażeby zaś ukryć to źródło istotne smutku, milczy i przybiera rolę istoty czyniącej wszystko z obowiązku. Otóż dramat jest rozwiązaniem tego splotu wypadków z przeszłości. Zjawia się młoda dziewczyna, Hilda. Była dzieckiem, kiedy budowniczy wniósł ową wieżycę, na której wierzchołku osobiście zawiesił wieniec. Wycałował ją wtedy i obiecał, że za lat dziesięć zrobi ją księżniczką i da jej królestwo. Przybywa ona teraz po spełnienie przyrzeczenia. Hilda zniewala go do położenia swego podpisu na wypracowaniu jednego z przedstawicieli młodego pokolenia, a potem namawia do wejścia na wieżyczkę nowego domu, który on wybudował dla siebie i żony swojej. Mimo oporu żony Solness wchodzi, wówczas kiedy młodzież zgromadziła się na dole, ażeby żartować z mistrza, który nie odważy się wstąpić na szczyt dzieła rąk swoich. Jakoż spada i rozbija sobie głowę.

Taka jest treść, jałowo wypełniająca dramat, opatrzony mnóstwem słów podkreślonych. Gdyby to był utwór zwykły, ibseniści przyznaliby, że poeta stworzył coś niebywale słabego. Atoli rozeszła się pogłoska, iż jest to dramat alegoryczny. Rozpoczęła się pogoń za znalezieniem klucza zagadki. Jedni mówią, że Ibsen przedstawił poetę, który swoje lepsze natchnienia porzucił dla schlebiania publiczności, a bojąc się współzawodników, systematycznie powstrzymuje młode pokolenie. Inni tłomaczą inaczej. Kto posiada słuszność-rozstrzygać nie będziemy. Zaznaczymy tylko, że krąży pogłoska, jakoby Ibsen w nowym utworze dał własną biografię w szacie alegorycznej. Gdyby tak było istotnie, gorzkiem musiałoby być życie wewnętrzne tego poety, pełnem zwątpienia i niewiary w samego siebie — przynajmniej w chwili obecnej.

J. W.

LITERATURA POLSKA.

Gawalewicz Maryan, *Mechesy.* Powieść. Warszawa. 1893.

Widocznie sam p. G. zrozumiał całą jałowość pracy, marnowanej jak dotąd na odtwarzanie „rui“ salonowej i przesycony badaniem jej tętn anemicz-

nych lub rozcinaniem „węzłów gordyjskich“ z pajęczyny — zwrócił oczy w stronę donioślejszych zjawisk, daleko żywotniejszych, niżeli gimnastyka uczuć monogamicznych w postaci dzisiejszej. Usiłuje już więc podpatrywać poważne procesy rozwojowe, dokonywające się w naszem społeczeństwie, odtwarzać je w szeregu typów ludzkich, współdziałających na scenie życiowej i wskazać tym procesom tory idealne, ściśle odpowiadające jego i jego grupy przekonaniom. Stare nawyknienie myśli, porającej się dotychczas z zalotami dwóch płci i ich koroną — małżeństwem, towarzyszy mu nieodłącznie i w dalszym ciągu. Dawniej obdarzał swoich czytelników figielkami mimiki miłosnej, teraz dziewosłębi (np. w *Drugiem pokoleniu*) klasom, albo (jak np. w *Mechesach*) — żywiołom plemiennym. I tu i tam chodzi o miłość i żeniaczkę. Ale, niestety, w obu wypadkach, pomimo intencyi swata, w rzeczywistości miłość idzie sobie na lewo, małżeństwo zaś — na prawo. Pary nie dobierają się i łączą: już to w *mariage de convenance*, już to w *mariage d'affaire*...

Byłoby mi bardzo przykro, gdybym został źle zrozumiany. To też zastrzegam się, że daleki jestem od urągania p. G., a tylko, może zbyt obrazowo, charakteryzuję tendencyjność autora. Daleki również jestem od tonu protekcyjnego, chociaż pozornie tak by się zdawać mogło. Osobie i talentowi jego, dającemu dowody żywotności, nierównie mniej mam do zarzucenia, niżeli innym jego towarzyszom. Owszem, w porównaniu z nimi jest on daleko zdrowszym dla czytelników, niżeli chorążowie t. zw. „młodego postępu,“ niżeli Rodziewiczówna, która teraz na giełdzie wydawniczej „najlepiej idzie...“ Nie wieje z kart jego książek stęchlizna babieńca, ani woń rozkładającego się serca.

W *Mechesach* czytelnik spotyka się z odzwierciedleniem powieściowem tego samego zjawiska u nas, które już przedtem odtworzył dramatycznie w *Naszych zięciach* p. Kaz. Zalewski. Mamy tu zręcznie pochwyconą chwilę społeczno-psychologiczną, gdy zbankrutowany posiadacz jedynego dobytku — krwi błękitnej — wchodzi w koligacyę z domem bogatego *mechesa*, t. j. z przechrztą. W rzeczywistości takie śluby bywają zwykle sprawą kupna i sprzedaży. Kupno też panny starego rodu szlacheckiego na żonę przez bankierowicza i sprzedaż jej przez błękitną ciotkę i mniej błękitnego wujaszka — stanowią główną oś powieści. W gruncie rzeczy wyszczerza tu zęby geszeft... żydowsko-szlachecki, czy też — semicko-aryjski.

Pocieszającą jest odwaga cywilna, z jaką nam autor odsłania jedną z kart dziejów „asymilacyi“ żywiołu obcoplemiennego w t. zw. „wyższych sferach“ naszego społeczeństwa. Śmiałość to nie lada, bo trzeba zważyć, że pierwowzory bohaterów *Mechesów* chodzą po ulicach Warszawy, a fotograficzna niemal dokładność odtworzenia każe przypuszczać styczność z nimi bezpośrednią, może nawet stosunki osobiste.

Zajmująca jest galerya typów, ujętych w biegu życia piórem p. G. w *Mechesach*, ale jeszcze ciekawsza niż ich stosunków, pobudki czynów i cała gra namiętności. Do głównych postaci należą członkowie rodziny plutokratycznej Sandsteinów i arystokratycznej — hr. Zabiełowskich. Sandsteinowie i dopełniające ich na dalszem tle powieści dwie inne rodziny, Sammetów i Feingussów — są to właśnie *mechesi*. Nazwa ta, według przedstawienia rzeczy przez p. G., określa typ asymilującego się z innorodnem otoczeniem żyda, który wzbogacony i chcąc dalej bez przeszkody bogacić się, wrasta w nową kulturę za pomocą chrztu przybranej mowy. Gdyby pochodził już z drugiego albo trzeciego pokolenia *mechesów*, albo jeszcze lepiej — gdyby choć trochę miał w sobie krwi niesemickiej, nie byłby mechesem. Jeżeli się dorobił milionów, to najmilszym ideałem jego „asymilacyi organicznej“ jest pomieszanie sobie krwi błękitnej przez córkę albo przez syna. Doświadczenie wykazało, że dotychczas wcielanie takiego ideału najlepiej szło w kierunku najmniejszego oporu ze strony przesądów rasowo-rodowych naszego społeczeństwa i dokonywało się przez córki. Bankierówny najprędzej znajdowały sobie mężów nawet z tytułem hrabiowskim. Daleko trudniejsza sprawa jest z operacyą odwrotną, a więc z synami. Jedna z *mechesek* p. G. uważa to za rzecz zupełnie naturalną. Łatwiej bankierównie utonąć w morzu aryjskiem, niżeli hrabiance w jeziorze semickiem, już dla tego, że pierwsza, tracąc w nazwisku męża swoje, mniej obraża dumę rodową; tymczasem druga musiałaby zamienić pięknie brzmiące imię rodowe na pierwszego lepszego *steina*, *berga*, *bauma* lub *bluma*, co byłoby wiecznym kamieniem obrazy dla przesądnego gniazda.

Ta nowa i trudna forma asymilacyi jest właśnie nicią przewodnią powieści p. G. Młodemu Sandsteinowi autor każe być zdobywcą warowni rodowej ze strony najniedostępniejszej. Odbywa się to dzięki zręcznym manewrom ciotki, pani Voss, i sprzyjającym okolicznościom. Załoga — owa ciotka i wujaszek wnuczki hr. Seweryna Zabiełowskiego — zagrożona licytacyą majątku, wydaje twierdzę sama w ręce wroga, niosącego złotą gałązkę pokoju. Tryumf jednak trwa krótko. Wraz ze szczęśliwym dla zwyciężonych zwrotem fortuny (spadkiem beztestamentowym po starym Zabiełowskim) następuje dla Sandsteinów sromotna porażka na całej linii — jest chwila, gdy razem z utratą mozolnie nawiązanej koligacyi wiszą nad przepaścią całkowitego upadku firmy.

Zabiegami o małżeństwo młodego Sandsteina (Bernarda) z hrabianką Tolą, dalszymi losami dopiętego już związku, wrzeniem namiętności w światku mechesów i ostateczną ich klęską — wyczerpuje się cały wątek powieści. Z uderzającą prawdą wyśledził autor czynniki psychiczne tego małżeństwa u obu stron interesowanych. Z iście chirurgicznym spokojem rozpostarł on dusze tych ludzi na stole anatomicznym i wskazał wszystkie ich skrytki i sprężyny. Oto stary Sandstein z swoją połowicą, która mu jest zarazem dobrą doradczynią w interesach, i siostrą, panią Vossową, obywatelką ziemską. Rodzinę tę pchają w objęcia hrabiowskie dwa prądy, nurtujące w jej łonie. Kobiety pragną małżeństwa Bernarda z Tolą dla uwieńczenia nabytych milionów koroną hrabiowską i dla zatarcia śladów pochodzenia; stary Sandstein widzi także w tym związku coś pozytywniejszego. On wogóle przybranie skóry mechesa i możliwie najzupełniejsze zrzucenie jej z siebie bez powrotu do żydostwa — traktuje ze stanowiska interesu, tak samo zresztą, jak i inni, jemu podobni. Feinguss np. przyjmuje chrzest dla tego, że inaczej stracić mógłby udział w korzystnem przedsiębiorstwie kopalni piotrkowskich; czyni to jednak wbrew przyrzeczeniu w tajemnicy przed swoją matką, mocno przywiązaną do starego zakonu, żeby jej oszczędzić boleści. Córki swoje chrzcił także z wielką przezornością — w miarę tego, jak za mąż wychodziły. Ani się z tem spieszył, ani troszczył o rodzaj wyznania chrześciańskiego, wiedząc, że pierwej, czy później, każda z córek, stosownie do tego, kto się połakomi na ich posagi, ewangielik, katolik, czy kto inny — pójdzie w ostatniej chwili za wiarą małżonka. To też syn i najmłodsza z córek, panna (Leosia), a nawet on sam pozornie — trwają w mozaizmie. Miał się ochrzcić dopiero po śmierci matki, ale Leosia, która zdobyła sobie konkurenta w osobie barona Rebschytza, odkryła zaraz po zgonie babki, że jej ojciec już dawno został mechesem. Charakterystyczną jest pobudka, dla której on nie życzy sobie, żeby o tem wiedziano: ma dużo interesów jeszcze ze „swoimi żydkami“ i boi się, żeby oni, dowiedziawszy się, iż jest „gojem,“ nie stracili do niego zaufania. Kiedy to będzie mogło stać się głośnem, czy on wie — „może za rok, może za dwa, może za dziesięć, a może aż po śmierci.“ Och, ta śmierć, zaścigająca mechesa, zanim ktokolwiek nie przestał być żydem w domu. Nic skandaliczniejszego nad nią dla tych paryasów, kiedy ona kogokolwiek z ich rodziny złapie jako żyda w połowie drogi asymilacyjnej. Najczulszym nerwem, odbierającym stąd najsilniej wrażenie wstydu — są kobiety, mecheski, które spodziewały się, że przez zamążpójście szlachetną końcówką nazwiska zamknęły za sobą na zawsze drzwi swojej przeszłości. Takiego właśnie figla płata Feingussom śmierć babki niechrzczonej. Doskonale u p. G. oddana jest chwila psychologiczna jej pogrzebu.

Staremu Sandsteinowi, również jak i jego kobietom, nieobojętne są schlebiające próżności stosunki z ziemiaństwem. Za ozdobę rautów swoich i *jour-fixe*'ów uważa herbowych gości, pp. radców Towarzystwa, oraz literatów-pieczeniarzów (w tej liczbie redaktora pisma żydożerczego), którzy nietylko stanowią ornament salonu, ale w potrzebie za kawał polędwicy i kieliszek tokaju mogą być usłużnymi reporterami firmy. Dogadzała też jego dumie ojcowskiej myśl ożenienia syna z wnuczką hrabiowską. Splendor jednak nawet wysokiej koligacyi nigdy nie przestaje być dla niego środkiem — celem jest tylko dla jego siostry, którą całą siłą nakłania do bratanka i omdlewa na myśl swego wniebowzięcia w sfery „błękitne.“ Dla niej kresem jest to, że będzie mogła tykać się z hrabianką Tolą i jej ciotką. Sandsteinowi małżeństwo syna dopiero otwiera nowe i szersze widoki spekulacyi przedsiębiorczej i umożliwia dalsze plany pomnażania kapitału. To też nawet w sposobach zdobywania hrabianki dla jedynaka różni się od siostry. Ona gotowa jest wspaniałomyślnie przepłacić zdobycz; on ani na chwilę nie przestaje być kupcem, który postanowił ubić interes jak najtaniej. Kultu wyraźnego nie ma dla korony hrabiowskiej, bo jest pewny, że Mahomet sam przyjdzie do góry — tem bardziej, że jest złotą. Ceremonij więc nie robi i na czem może, oszczędza: woli nabyć pierścionek zaręczynowy dla przyszłej synowej ze skazą w brylancie, bo o 50 rubli jest tańszy. Najsprytniej wszakże dokonywa kupna samej wnuczki hrabiowskiej. Opiekun jej, wujaszek Łaniecki, przemarnował nietylko posag pupilki Toli, ale i zadłużył nad wartość majątek jej ciotki, swej żony. Ta właśnie okoliczność była powodem zbliżenia się Łanieckich do Sandsteinów.

Sprzedanie wychowanicy „mechesowi“ za żonę jest jedyną deską zbawienia dla utracyusza, bo już wyłudził nie nie może nawet od teścia, starego hr. Zabiełowskiego, który od czasu jak mu żona uciekła z gachem, stał się odludkiem i kutwą — artrytyzm jego dusił, a on — pieniądze. Wypadło więc udać się na targowisko z panną. Przyjęto go, jak Mesyasza. Miał jednak Łaniecki tę nieostrożność, że za dużo czasu poświęcił na wystawę towaru a umizgi do nabywcy i dobicie targu wraz z oznaczeniem ceny odłożył na później. Zażądał pieniędzy od Sandsteina na uratowanie Grzęd od licytacyi dopiero w przededniu ślubu Toli. Ale meches, nie w ciemię bity, ułożył zawczasu korzystniejszą dla siebie kombinacyę. Nad majątkiem Łanieckich wisiał już fatalny wyrok sądu, w którym lada dzień wygrać mieli hrabiowie Radoszkowscy—stary, wciąż odnawiający się w instancyach proces, prowadzony pomyślnie za pieniądze pożyczone Radoszkowskim przez dawnego wspólnika Sandsteina — Sammeta, w chęci przyszkodzenia małżeństwu. Otóż Sandstein pieniędzy Łanieckiemu nie dał; wytłomaczył mu, że nie ma interesu ratować majątku z pod subhasty, licytacya

musi nastąpić, ale za to on, doświadczony kupiec, sam go odkupi przez swego agenta, a potem w podarku ślubnym wręczy synowstwu. Tak też się stało. Łanieckiemu zaś, wykazawszy, że jest niedołęgą, dał tłustą synekurę malowanego dyrektora lombardu akcyjnego. Do tego przedsiębiorstwa, które sam założył, udało się Sandsteinowi zwabić kapitały starego hrabiego na wędkę 30% dywidendy. Ta ostatnia spółka — po małżeństwie na zasadzie kupna-sprzedaży — należy do najlepiej pomyślanych obrazków społecznych w powieści p. G. To nie koncept, lecz prawda życiowa!

Szczupłość miejsca nie pozwala mi dłużej się rozwodzić nad wątkiem *Mechesów*. Czytelnik niech lepiej sam je weźmie do ręki, bo warte są tego. Dość, że tryumf Sandsteinów trwał krótko. Szczytem najwyższym ich sławy jest małżeństwo syna, doprowadzone do skutku i wciągnięcie starego hrabiego do licznych przedsiębiorstw. Pierwszem niepowodzeniem jest śmiertelny uporczywy chłód serca kupionej przez Sandsteina dla syna żony, chłód na chwilkę tylko ustępujący żerowi nie miłości, lecz najprostszego popędu, który w nieszczęsnej z głupoty ofierze frymarku rodzinnego, Toli, wybuchnął prawdopodobnie tylko dlatego, że chciała osłodzić swoje męczeńskie życie dzieckiem. Znalazłszy się gwałtem przesadzoną do świata, zupełnie jej obcego obyczajowością dziedziczną, śród ludzi inaczej ukształtowanych emocyonalnie, spodziewała się, że dziecko, kość z kości jej własnej, zapełni choć w części pustkę duszy, wytrąconej brutalnie z prastarej rodowej jej sfery. Ale zaraz na wstępie spotkał ją zawód — urodził się nie spodziewany cherubinek, ale w miniaturze — wykapany Sandstein. Drugiem niepowodzeniem dla nich — gromem ze złotego nieba — były następstwa śmierci starego Zabiełowskiego: wycofanie wszystkich kapitałów spadkowych z przedsiębiorstw Sandsteina i rozwód jego syna z żoną.

Całej tej niefortunnej próbie asymilacyi ras przez córy błękitne przygląda się autor ze spokojem wytrawnego obserwatora — cofając wstrzemięźliwie swoje sympatye i antypatye w głąb serca. Nie zawsze jednak udaje się mu być wiernym tej zasadzie prawdziwego artysty, nie zawsze jest przedmiotowym sędzią. Są tu i owdzie w powieści dyskretnie ukryte okienka, po przez które (np. w postaci Kalisza) przeziera twarz prokuratora. Tędy przemyca się „moralny sens bajki." W akcie oskarżenia policzone są zarówno winy „mechesów," jak i błękitnych panien, powołanych przez logikę przemian naszego rolnictwa do roli asymilatorek bogatych semitów. Ustami Kalisza-Katona zarzuca autor obu stronom mieszającym się plemiennie — brak uzdolnień moralnych, któreby winny poprzedzać antropologiczne spławy. Ale jak dojść do tego? Zagadkę przyrzeka p. G. rozwiązać w drugiej powieści na ten sam temat, gdzie ma zużytkować resztę obfitego materyału i zebranych spostrzeżeń.

Zyg. Piet.

TEATR.

Zygmunt Przybylski. *Wejście w świat*, komedya w 3-ch aktach.

Nie opuszczajcie swych kątów rodzinnych, nie marnujcie mienia na bruku miejskim, w zabawach i przyjęciach tłumów gości. Nie wszczynajcie waśni z sąsiadami o drobną kradzież, popełnianą przez parobków i o szkody, wyrządzane przez gęsi. W mieście was niepokoje i szachraje oskubią i spotwarzą, łotry wciągną do szwindlów i obdarłszy dobrodusznych z grosza ostatniego, wyśmieją i pogardzą wami, jako przedmiotem już do niczego niezdatnym. Jeżeli was pokusa sprowadzi do zbiorowiska owego życia nienormalnego i zepsucia, a czereda ludzi o sumieniu i honorze wytartym otoczy was opieką i usługami, starajcie się natychmiast wycofać z tej pułapki i wrócić do wioski rodzinnej, gdzie jesteście w swoim żywiole, oddychać z ufnością i swobodnie możecie, gdzie łatwiej dobrych od nikczemnych odróżnić i przy skrzętnej pracy, natężeniu sił snadniej wybrnąć z niepowodzeń materyalnych." Taka przestroga przegląda z treści i nastroju ostatniej komedyi p. Przybylskiego, jakkolwiek, wnosząc z lekkiego traktowania rzeczy, może ona nie była świadomym zamiarem autora.

Pan Rapiński nie należy wprawdzie do zrujnowanych, ani do zachwianych. Zjeżdża z rodziną do miasta w jesieni z zamiarem spędzenia wesoło karnawału i wyrobienia tą drogą dobrej partyi dla córki, tem bardziej, że chodzi o to, iżby wybiła sobie z głowy towarzysza zabaw i rozrywek wiejskich od lat dziecinnych — Jana Haleniewskiego, którego ojciec, oryginał i tyran domowy, w waśniach sąsiedzkich dobrze zalał za skórę rodzicowi młodziutkiej Zosi. Ani ona, ani matka jej — Joanna, nie życzyły uciech miejskich i znalazłszy się w obcem dla się otoczeniu, ciągle wzdychają do swego dworku, gdzie po nich pustka panuje i psy wyją tylko. Przybysze odrazu znaleźli usłużnych krewniaków i przyjaciół, którzy przyjęli na siebie obowiązek tresowania szorstkich, nieobeznanych z konwenansami wieśniaków i wprowadzenia ich w świat salonowy, dobrze wypolerowany. Przy tej sposobności niezmordowanym w nadskakiwaniu i wprowadzaniu gości — Szastalskim zawsze się coś okroi: kosz wina, smaczne obiadki, śniadanka, kolacye; przy tem ożywia ich nadzieja namówienia nowicyuszów miejskich do udziału w przedsiębiorstwie. Pierwszy bal ma być okresem wcielenia się przybyszów do życia towarzyskiego, rują, w której samce strawieni fizycznie i umysłowo rozkoszami miejskiemi ubiegać się będą o świeżą dziewczynę wyhodowaną śród natury, niezatrutej miazmatami wielkich mrowisk życia. Na zmartwienie Rapińskiego przybywa ów nielubiany towarzysz lat młodocianych jego córki i na balu robi skandal mocnem poturbowaniem starego Szastalskiego za intrygi, rozsnuwane dla wpędzenia panny w sieci własnego syna, który zapałał miłością do niej od chwili gdy się dowiedział o 160 tysiącach posagu. Gospodarz podrażniony awanturą we własnym domu, dotyka boleśnie młodzieńca wobec gości krzywdzącą uwagą, skierowaną do jego ojca. Rapiński atoli w gruncie jest zacnym człowiekiem, a jego hardość i pozorna nieugiętość woli łatwo się dają zmiękczyć środkami łagodnymi. Przekonawszy się, że młodzieniec jest człowiekiem szlachetnym i prawym, jedna się z nim i córkę mu oddaje, tembardziej, że stary Haleniewski przebacza dawne urazy sąsiadowi i staje się powolnym dla syna pod wpływem wiadomości o rozmiarach wiana.

Autor tu i owdzie poprzeplatał lekki wątek sztuki scenami rzewnemi, obok postaci poważnie traktowanych zbyt blizko postawił figury z farsy. Być może, iż to się nie zgadza z formułą budowania komedyi, ale nas tym razem przyjaźniej usposabia dla autora ten wzgląd, iż w życiu rzeczywistem bardzo często farsa gryzie się z powagą, postacie wykończone przesuwają się obok sylwetek lekko się zarysowujących. Większym grzechem jest to, iż p. Przybylski zbyt się powtarza. Widz, znający jego dawniejsze sztuki, pomimo woli przypomina je na przedstawieniu ostatniej. Chwilami przesuwa się także zlekka — „Dom otwarty." Wprowadzając na scenę aż dwadzieścia pięć figur, autor niepotrzebnie obarczył swą sztukę tym balastem. Wiele z nich prawie nic nie mówi i nic nie robi; trochę obliczone to jest na wzmocnienie komizmu i scharakteryzowanie rozgardyaszu, w którym gospodarze nie mogą znaleźć spokojnego kąta. Ciżba ta jednak więcej ujmuje, niż dodaje wartości sztuce. Znaczna część tych ludzi nie zwraca uwagi na siebie, ale przeciwnie, odrywa od postaci głównych. Miarą przeładowania jest to, że bez afisza w żaden sposób nie mogę sobie uprzytomnić co najmniej połowy figur występujących w sztuce p. Przybylskiego. Z pominięciem atoli tych usterek i trochy patosu, włożonego w usta kochanków, przypominających miłe chwile pobytu na wsi, komedya zajmuje i dość przyjemne pozostawia wrażenie. Postacie pojedyncze obok wielu szkicowych, karykaturalnych, są wyraźniei prawdziwie zarysowane. Trzeba przyznać p. Przybylskiemu znajomość warunków sceny tudzież uzdolnień i temperamentu naszych artystów. Gotów jestem nawet posądzić autora, że tworząc swych bohaterów, z góry już przeznacza ich role odpowiednim aktorom. To też dawno nie widziałem takiej harmonii i szczerości w grze, jak w sztuce niniejszej. P. Czakówna wybornie pochwyciła postać Zosi i między innemi scenę przejednywania ojca odegrała najładniej; w momentach lirycznych znać dużo uczucia. Krewki i gniewny, w gruncie rzeczy jednak poczciwy Rapiński znalazł dobrego wykonawcę w p. Ostrowskim. Pan Frenkiel nie pominął uwydatnienia najdrobniejszych szczegółów z chytrej, bezczelnej i komicznej figury starego Szastalskiego. Rola jego syna, łowcy posagowego, bardzo właściwie dostała się p. Prażmowskiemu. P. Rapackiego jest zasługą, iż stary dziwak i skner Haleniewski, ukazujący się tylko na krótko w ostatnim akcie, żywo utkwił w pamięci widza. W gorącej grze p. Wolskiego sympatycznie się zarysował młody Haleniewski. Zbyt drobne role innych artystów nie zasługują na szczegółową uwagę.

Zenon Pietkiewicz.

MALARSTWO.

Obrazy Ciemniewskiego, Mierzejewskiego, Kotarbińskiego, Gersona, Pankiewicza, Kowalskiego.

Chociaż pragnęlibyśmy z duszy, z serca zrobić siarczystą reklamę Salonowi spółki artystycznej za jego ruchliwość i, jak się to mówi w listach pochwalnych, „ciągłe a niezmordowane dążenie naprzód," to jednak wypada odłożyć sobie rozkoszną śród tego ogrodu młodych kwiatuszków przechadzkę na kiedyindziej, a dziś wrócić jeszcze do Zachęty. Toż tam zebrał się całkiem nieumyślnie istny konkurs pejzażystów, na którym jaśnieją aż po kilkakroć takie nazwiska, jak Chełmońskiego, Wierusza-Kowalskiego, Rapackiego, Pankiewicza, Popowskiego, Mierzejewskiego i wielu innych. Słowem obrazy wychodzą na święta z pracowni takiemi masami, jak, nieprzymierzając, strucle z piekarń. I co dziwniejsza, że całkiem marnych między niemi (tj. między obrazami), znajdziesz niedużo.

Zacznę od płócien z podpisem Ciemniewskiego. Rejestry grubych firm ponoć milczą o nim, ale zdaje się, że niezadługo będą musiały opiewać długo i głośno. Wszystkie cztery dzieła odrazu zaciekawiają, zatrzymują uwagę i przemawiają do widza zrozumiałym i zupełnie stanowczym językiem talentu. Tu nie potrzeba wpatrywać się długo i na aptekarskich szalkach ważyć

nieuchwytną siłę własnego wrażenia. Jesteśmy z sobą odrazu „w porządku,“ bo czujemy malarza z bożej łaski, który umie naturę postrzegać, czuć i na stalugi przenosić i to nie tyle jej momenta przełomowe, dobitne, jaskrawe lub szczególnie poetyczne, ile właśnie delikatne. Weźmy naprzykład „Ranek po deszczu,“ który nam osobiście najwięcej się podoba, a będziemy niemal blizcy zachwytu. Po czem powiem rozpostarła się i z jakich motywów się składa ta pora nieefektowna? Wyziera oto z owego brzasku niepewnego, w którym kształty nie weszły jeszcze w siebie, nie zapanowały nad tłem widnokręgu, lecz prawie rozpływają się chwiejnymi, mglistymi konturami, ba, może i parują w dodatku wilgocią. Na niebie zostały ślady ulewy w postaci brudnych strzępków chmury, które charakterystycznie, jako coś obcego, coś nie na swojem miejscu i innego pochodzenia odbijają od bladego błękitu. I ten sam kolor nieba, co otwiera dopiero jedno oko, odbija się w kałużach. A kiedyśmy już ogarnięci zostali właściwym, zamierzonym przez malarza nastrojem i łagodnie wzruszeni reminiscencyą — wtedy i reszta obrazu musi się nam wydawać dopasowaną ściśle do założenia i gotowiśmy twierdzić, że ów pastuch na łysej kobyle, poganiający świeżo wypędzone bydło i samo krzewy i głupie jagnię mają właśnie takie miny, jak każde niewyspane stworzenie ziemskie. Krótko mówiąc, chwila psychologiczna rozprowadzona została po całym obrazie konsekwentnie i jednolicie i mamy ją przed sobą ściśle wytłomaczoną, prawdziwie mokrą, wczesną, letnią i głęboko odczutą.

Może jeszcze lepszem z punktu widzenia czysto artystycznego, bo trudniejszem, jest drugie płótno, przedstawiające krowy w powrocie do domu przez las, w dzień upalny, kiedy to skwar daje się we znaki nawet bydlęciu. Drepczą one ociężale ze łbami leniwie opuszczonymi i tak jednostajnie, jak na krowy w taką porę przystało. Jest to rzetelne stado, nieusiłujące bynajmniej dla dogodzenia kaprysowi widza indywidualizować się na pojedyncze, różne pomiędzy sobą role, wyrazy i ruchy. Ot, porządna i posłuszna rogacizna, zdjęta w dodatku szczerą apatyą. I pejzaż złożony z polany w boru i przebłyskującego z pomiędzy gałęzi na tylnych planach słońca tchnie prawdą i znakomicie dostraja się do zasadniczego motywu. Co do sposobu malowania, to nie ma on w sobie nic z owej nieszczęsnej pogoni za kolorkowością, a jednak wydobywa ton silny dość i jędrny i umiejętnie nader stopniuje dokładność szczegółów wedle stopnia oddalenia, jak to np. uderza w owej łaciatej krowie, idącej trochę samopas, z dwiema czarnemi plamami zamiast oczów. W tym, jak i poprzednim obrazie figury idą na widza w prostej linii i dzięki temu osiągają wyraz możliwie dobitny i przypuszczam, iż dla malarza nie najłatwiejszy. Wogóle robota tu poważna i chciałoby się powiedzieć, ciepła, niezmiernie w temacie zakochana i świadczy o pełnem, wyłącznem, pochłaniającem przejęciu się jego duszą.

Mniej już dokładności wszechstronnej zawiera parobek, orzący glebę parą wołów. Bo wprawdzie mimo silne perspektywiczne skrócenie zwierzęta są doskonałe w ruchu, w liniach twardego i wyłamanego grzbietu w bocznych wypukłościach i czuć, że pracują flegmatycznie ale z natężeniem, to jednak samo ściernisko wygląda raczej jak chodnik z barwionego włosia, a zagony zorane składają się nie z twardych i ciemnobrunatnych grud, lecz z szarej, wodnistej i płaskiej zaprawy, która całość psuje. Wreszcie zasługuje także na wzmiankę szkic z kapustą pod lasem, którą pielą baby. Efektu mało, ale silnej męzkiej pracy w pojedynczych głowach i liściach, ale wybornego wystudyowania ich kształtu, twardości i koloru — niezaprzeczone piętno.

Pan Ciemniewski stanowi prawdziwą niespodziankę i niepodobna będzie śledzić jego dalszych utworów bez wielkiego zainteresowania. Powiało od niego poprostu świeżością.

I o panu Mierzejewskim nie zdarzało się nam dotąd wspominać. Jego wielki krajobraz leśny robi istotne wrażenie poetyczną zadumą i mrokiem zacisza, którego charakter tajemniczy i ustronny potęguje się wyniosłością sosen i grubą warstwą podszywających je traw i krzaków. Tak, iż widniejące za skrajem pola i łany są jak gdyby odgrodzone siatką i ma się złudzenie, że chcąc wejść z nich w las, trzeba dobrze pracować nogami. To przejście jest najlepszą bodaj cząstką obrazu i mógłby on sobie wystarczyć zupełnie i ostać się bez Janka muzykanta, który zamiast dodawać mu melancholijnie-rzewnego nastroju, szpeci go naciąganą czułostkowością.

Nawet przechodząc do imion znanych, nie przestaję mieć do czynienia z ludźmi nowymi, a mianowicie w ten cudowny sposób iż p. Miłosz Kotarbiński występuje z rzeczami, które leżą całkiem za obrębem jego dawniejszego rodzaju. Dopasowywa się on do upodobań nowszych, a że te mają swego ulubieńca w pejzażu, wszechwładnie niemal panującym dzisiaj, więc nawrócenie to z pewnością nie jest tchórzliwem rejterowaniem, lecz raczej zrozumieniem ducha czasu. Otwarcie mówiąc, nie sądziliśmy, że ta metamorfoza przyjdzie mu tak łatwo i dotrze do głębi, że po dawnej niby-romantycznej manierze zdobędzie się na prawdę, szczerość i prostotę. A właśnie wszystkie te zalety łączą w sobie jego mgły poranne, nad stawem porosłym trawą. Wloką się one białemi, postrzępionemi smugami, wiszą, czepiają tu i owdzie kępy sitowia lub sosenki na brzegu i zostawiają w ich kolorze ślad wilgotnej kąpieli. Woda jest rozległa i przezroczysta, plamy zieleni malowniczo i naturalnie rozmieszczono, powietrza i świeżości dużo a zaróżowione zlekka obłoczki, które po nad gęstemi oparami, gdzieś bardzo wysoko dyskretnie od strony wschodu ciągną, mają całą powolność i nieśmiały blask pierwszych zwiastunów budzącego się słońca. Takich obrazów nie tworzy zasklepiony w murach pracowni mieszczuch, lecz ten, kto czuje i rozumie naturę.

Nie wiem, czy to widok z Czerwonego wirchu rozściela się na dużem płótnie p. Wojciecha Gersona, które od dawna już pokutuje w Salonie i na żadnej jego ścianie miejsca zagrzać nie może, ale to pewna, że malowniczym być musiał na jednym z owych niższych szczytów tatrzańskich, które ukazują nam stronę Węgierską, jako labirynt wzgórz lasem porosłych i dolin blakłozielonych, jako bezgraniczną perspektywę fal gruntu o fizyognomii tak odrębnej i charakterystycznej, że się jej nigdzie indziej nie spotyka. A i to pewna, że podobnie prawdziwych i pięknych dzieł po pędzlu tym nie spodziewaliśmy się. Kto odbywał wycieczki z Zakopanego, pozna ten motyw, dla innych może niezrozumiały odrazu i zdziwi się zarówno dokładności tonów jak i owych ciemnych smug boru, które spadają w dół zupełnie, jak fałdy obciąganej rozmyślnie spódnicy. Ale może i przypomni sobie, jak często pod parciem wiatru walą do góry ze żlebów mętne opary i tak się wzbijają gwałtownie i kłębiasto, niby para z lokomotywy. Owa trąba mgły jest u p. Gersona trochę za brudna, ale ma swój prawdziwy i znamienny pęd oraz tworzy pełen naturalnej poezyi kontrast z wielkiemi obłokami, które hen, w oddali, suną poważnie i majestatycznie, a wysoko i osrebrzone promieniami słońca. Ze wszystkich krajobrazów zakopańskich, jakie nam się zdarzało widzieć, ten jest niewątpliwie najbardziej artystycznym i jaknajmniej szablonowym, w temacie najmniej wdzięcznym i popularnym. To też zapomniano o nim, jak o kopciuszku: nic dziwnego — nie zrozumiano go.

Tak samo na powodzenie liczyć nie może p. Pankiewicz. Jego studya na światło księżycowe, a w motywie z Dunaju w dodatku skombinowane z gazowem, są robotami poważnemi, choć jest to wyraz owej zbyt wyrafinowanej pogoni za nadzwyczajnością optyczną. Wymaga ten rodzaj szalonej techniki, którą jak dotąd posiada jedynie Aleks. Gierymski. O wiele szczerszym i prostszym jest „Park w nocy“, co prawda także nie wolny od wyszukania, w tym razie egzotyczno-romantycznego, w postaci kępy okrągłej drzew na środku polany i sylwety fauna z wyciągniętem kopytem. Ale światło jest prawdziwe, przedziera się przez gałęzie i pada plamami na trawę tajemniczo i dyskretnie, miesza się z mgłą nocną prawdziwie, posągi białe w oddali zamienia w niewyraźne świetlane obłoczki i wreszcie owiewa całość nastrojem letniej, zlekka wilgotnej, poetycznej nocy. Zatraciła ona wyrazistość konturów i linij i przeniknęła wszystko skupieniem i ciszą.

A teraz, odkładając wzmiankę o wielu innych znanych nowościach do dalszego ciągu, powiedzmy słówko o p. Wieruszu Kowalskim. Z cyklu jego płócien, osobno wystawionych, został już tylko jeden, który przedstawia rozległe pastwisko z daleką perspektywą, stadem koni, pastuchem, grającym na fujarce i niby zasłuchaną w jej tony dziewczyną. Nic ma tu nic wybitnego. Dalsze plany nienaturalnie odróżniają się silnem światłem od pierwszych a linia graniczna między plamą jasną a ciemną jest tak prosta, jak gdyby ją wytknął geometra. Wirtuoz jest sztywny i namaszczony a słuchaczka tak szeroko roztworzyła oczy, jakgdyby chciała na gwałt skokietować widza. Żółcizna zachodu na drzewach nie ma w sobie nic prawdy. Krajobraz ten ma wogóle cel praktyczny — jest obliczony na kupno dla samego nazwiska autora. Gdyby nie uwinięto się tak szybko z resztą jego dzieł, możnaby o nich pomówić szerzej i umotywować bliżej twierdzenie, od którego powstrzymać mi się trudno, że były to rzeczy przeciętne. Prawdziwie dobrym był „Basior czatujący,“ silny i pełen wyrazu, oraz „Na toku cietrzewi“ z wybornym brzaskiem. Wszystkie inne motywy: jazdy konnej, polowania, psów gończych, znamionują malarza wytrawnego, który jest prawie szybkomalarzem, ale mają jedną wspólną pieczęć: są powierzchowne, zanadto do siebie podobne i obfitują w szary smaczek monachijski a „Jazda przy świetle pochodni“ po śnieżnych rozłogach nie zawiera ani siły, ani należytego ustosunkowania gęstego mroku do jasności pochodni. Że wszystkie owe waryanty, których całe tuziny wychodzą przez rok z pracowni Kowalskiego, nazwano u nas jednogłośnie „arcydziełami“ wytłomaczyć łatwo. Malarz ten bowiem dostał medal pierwszej klasy na wystawie monachijskiej, ale ponieważ obraz nagrodzony miałem sposobność widzieć już dawniej, gdy był jeszcze na warsztacie (czego dowód znaleźć można na łamach *Prawdy*, z przed lat czterech) więc zapewniam — nikogo to zresztą nie obowiązuje — że tamto jest praca poważna doskonałego artysty o nadzwyczaj dobrym smaku choć niewielkiej oryginalności, a to były płótna często mniej niż mierne, po prostu, odbitki fabryczne albo fragmenty utworów lepszych.

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

L. PASTEUR

(w 70 rocznicę urodzin).

Trudno w kilku słowach ująć działalność człowieka, którego imię obecnie w 70-ą rocznicę urodzin świat ze czcią wspomina. Nie tylko bowiem ścisłe badania w dziedzinie bakteryologii uzyskały dzięki jego pracom niezbitej trwałości podstawy, nietylko cała nowoczesna chirurgia powstała, dzięki wytrwałemu stosowaniu przez Listera odkryć Pasteura, ale samodzielne odkrycia praktycznej natury pozwoliły kolejno wynaleźć środki zapobiegawcze przeciwko niektórym chorobom zakaźnym u zwierząt i ludzi, a nawet podać pewne wskazówki do ich skutecznego zwalczania.

Nie wiem, czy śród badaczów dawniejszych i współczesnych znajdzie się ktoś równy Pasteurowi pod względem teoretycznej i jednocześnie praktycznej doniosłości prac. To pewna, że rzadki w dziejach wypadek, ażeby człowiek zdołał unieśmiertelnić się za życia, słusznie przypadł mu w udziale. Zasługi jego zostały powszechnie uznane, tysiące uczniów pracuje dalej na wskazanych drogach, a on powiedzieć śmiało może wyrazy w jubileuszowym obchodzie wyrzeczone: „co mogłem — zrobiłem.“ A ile walk musiał pokonać ten człowiek! Ile trudów zniósł dla obalenia fałszywych poglądów! Jak się borykał z trudnościami materyalnemi i moralnemi. Dosyć powiedzieć, że pracownia, w której wykonał najpiękniejsze prace nad fermentacyą (mieszcząca się w Ecole normale przy rue d'Ulm w Paryżu) objętością nie przenosi 3 (trzech) metrów sześciennych! Do dziś odzywają się jeszcze głosy ludzi, nierozumiejących, co znaczy badanie ściśle, głosy pojedyncze, milknące stopniowo. Co się dziać musiało, gdy trzeba było obalić teoryę samorodztwa, tak chętnie wówczas przyjmowaną, lub postawić nową teoryę fermentacyi w miejsce dawnej Liebiga, cieszącej się powszechnem w świecie naukowym uznaniem! Do ostatnich lat obijały się o nasze uszy ślady walki zaciętej — o powstawanie chorób zakaźnych, wreszcie o ich zapobieganie i leczenie. Teraz słabnie stopniowo umysł wiekiem i chorobą sterany, rzadko już zapalają się ogniem przenikliwe siwe oczy w chwilach rozmowy z uczniami o nowych badaniach, świetnie zbudowany Instytut pozwala wprawdzie odpocząć do woli osłabionemu ciału, ale nie odrodzi niknącego ducha, który, niestety, nieubłaganego kresu dobiega.

Zostawimy na później opracowanie bardziej szczegółowe księgi tego życia, tak obfitymi owocami darzącego ludzkość. Dziś zaznaczymy tylko, iż uroczystość jubileuszowa odbyła się poważnie i nie była ani na chwilę zmącona żadną przymieszką obcej natury, jakby się zdawać mogło z wiadomości, zamieszczonych w niektórych pismach. Pasteur, wprowadzony do sali przez prezydenta Rzeczpospolitej, usiadł przed osobnym stołem po prawej ręce na wzniesieniu, przed którem usadowili się przedstawiciele polityczni i wybitniejsi badacze Francyi oraz innych narodów. Dalej znaleźli się wysłańcy innych towarzystw naukowych, wreszcie młodzież ucząca się i liczne zebrana publiczność — ściśle zapełniły olbrzymią salę gmachu Nowej Sorbony.

Kolejno przemawiali prezes Akademii umiejętności i Akademii lekarskiej, sekretarz stały Akad. umiejętności, dalej Lister, ojciec nowoczesnej chirurgii, a w końcu przedstawiciel paryskiej młodzieży i mer Dole, ofiarujący ze łzami w oczach podobiznę domku, w którym Pasteur, syn legionisty, ujrzał światło dzienne.

Jubilat milcząco przyjmował wszystkie hołdy i na chwilę tylko zdawał się być porwany przemową Listera, którego gorąco uścisnął. Gdy następnie delegaci różnych towarzystw naukowych zaczęli składać adresy i dyplomy, wszystkim uprzejmie dziękował, każde zaś nowe nazwisko wywoływało oklaski śród zebranych w sali. Adresy nie były odczytywane i w ten sposób uniknięto zbytecznego przedłużenia obchodu, który trwał przez niespełna dwie godziny.

Przemówienia nacechowane były serdecznością i streszczały w krótkości działalność Pasteura oraz zaznaczały wdzięczność, jaką ludzkość czuć powinna dla jego prac tak doniosłych. Odpowiedź jego skierowana była do młodzieży i zalecała wytrwałą a sumienną pracę w obranym kierunku, która sama tylko jest w stanie doprowadzić do wielkich a owocnych wyników.

O. Bujwid.

Dr. J. K. ROSÉ

(Wspomnienie pozgonne).

Ubył medycynie warszawskiej jeden ze zdolniejszych praktyków, gdyż w ostatnim okresie swego życia zszedł zupełnie z pola naukowego i zajmował się wyłącznie leczeniem. Józef Rosé urodził się 1826 r. w Poznaniu. Po otrzymaniu w Berlinie stopnia doktorskiego, osiadł w Warszawie, gdzie został mianowany naprzód adjunktem Akademii medyko-chirurgicznej, a następnie profesorem patologii i terapii w Szkole Głównej, którą opuścił w r. 1869. Napisał on szereg dzieł, nieuderzających oryginalnością badań i pomysłów, ale gruntownych: *Dyagnostyka fizyczna chorób płuc i serca* (1860), *Kurs terapii i patologii szczegółowej*, oraz wiele innych z dziedziny chorób wewnętrznych, zwłaszcza płuc i serca. Do ostatnich chwil życia pracował jako lekarz, posiadający rozległą praktykę śród publiczności i poważne uznanie śród kolegów.

LIBERUM VETO.

Nowy rok. — Drobina niszczącej potęgi. — Czas — niszczyciel. — Nasza małość wobec jego wielkości. — Kwestye teatralne. — Nad czem Europa łamie sobie głowę. — Wyższe ukształcenie kobiet wobec wędlin i kołdunów. — Kuchnia jako arka ideałów. — Groźba przyszłości. — Kucharki spadłe z etatu domowego. — Koniec świata.

Rok 1893 ujął berło kalendarzowe i ogłosił swoje panowanie nad światem cywilizowanym. Odtąd wszystko dziać się ma w jego imieniu i pod jego znakiem, począwszy od kwitów dłużniczych, a skończywszy na aktach prawodawczych. Władca ten sam przez się jest niczem i może nawet imię jego nie spocznie pod żadnym godnym dłuższej pamięci wypadkiem, ale jako ułamek olbrzymiej potęgi — czasu, posiada w sobie drobinę jej siły — niszczącej. I on bowiem pochłonie jakąś cząstkę istnień, czynów i objawów życia. Jeżeli ogrom wszechświata miażdży nas i sprowadza do atomowej małości, to w bezmiarze czasu nikniemy zupełnie. Pomyślmy tylko — o ile to jest możliwe — jak nielitościwie zachowa się on wobec naszych bytów, tworów, przedmiotów najgorętszego pragnienia, wobec tego, co stanowi dla nas najcenniejszą zdobycz: wszystko to zetrze i jak garść bezimiennego prochu rzuci w otchłań nicości. On, który wszystko pamięta, powoli wszystko zapomina i nie pozostawia ani śladu z istnień, które uznajemy za wieczne i nieśmiertelne. Mamyż zgnieceni i zniechęceni tą straszną potęgą powtarzać za mędrcem biblijnym: próżność próżności i wszystko próżność — bezsilni i bezczynni? Nie, gdyż jak ziemia stosuje się tylko do tego obrębu przestrzeni, który w biegu swoim zajmuje, tak samo ludzie na niej liczyć się muszą z tym tym tylko przeciągiem czasu, w którym mieści się ich trwanie. Pomimo że największe dzieło rozpłynie się w wieczności, dla nas ma ono ogromną wartość, jak słońce, które również kiedyś zniknąć może, a obecnie jest niezbędnym warunkiem naszego życia. Człowieka obchodzi tyle jedynie czasu, ile on swoją myślą, dążeniem i czynami objąć zdoła.

Ale naturalnie te myśli, dążenia i czyny mają najrozmaitsze miary. Są tak olbrzymie, że nie widzimy ich końca i są tak małe, że między ich narodzinami a śmiercią nie dostrzegamy przedziału.

Do ostatnich należą tak zwane *kwestye*... teatralne. Na nieszczęście rozumu narodów mniej dojrzałych narodził się we Francyi liczny zastęp pisarzów wysoce utalentowanych i fenomenalnie głupich, którzy postanowili, jeżeli nie zwrócić ludzkość na inne drogi, to przynajmniej oświecić jej drogi zapomocą swojej ciemnoty. Pisarze ci, prawie bez żadnego wykształcenia i znajomości świata po za własnym krajem, dumni ze swego nieuctwa a mający pretensyę do mądrości, jedni szczycą się z tego, że obca im jest zupełnie literatura niemiecka, drudzy wyznają naiwnie, że z całej produkcyi szwedzkiej znane im są tylko śniegowe łyżwy, inni popisują się tem, że jedli kawior, inni dziwią się Voltaire'owi, że cenił Shakespeare'a, a wszyscy w roli mistrzów wyrabiają i rozwiązują kwestye. Sfabrykowali tego towaru dużo. Co ma zrobić mąż z kochankiem żony; co ma zrobić żona z kochankiem męża; jak powinien się zachować mężczyzna z kobietą, którą może zbałamucić, zaślubioną, wdową, rozwódką, panną, dojrzałą, nieletnią, chłopką, mieszczanką, arystokratką, tłustą, chudą, namiętną, zimną, żoną przyjaciela, zwierzchnika, podwładnego, w buduarze, w wagonie, lesie, kąpieli, na polu, ulicy — itd.? Czy należy ufać raz uwiedzionej, czy można po matce wziąć córkę, czy lepsza jest kokota, która uwalnia od złudzeń, czy też niewinna dziewica, której czystość opierała się na niewiadomości; czy rumieniec kobiety usprawiedliwia ją, czy oskarża; czy strojne podwiązki są znakiem chęci popełnienia wiarołomstwa, czy podobania się mężowi — itd.? Oto są kwestye, nad któremi rozmyśla Europa przy schyłku XIX stulecia. Wraz z nią rozmyślamy i my, czyniąc tylko pewne ustępstwa przyzwoitości swojskiej, która nie pozwala wystawiać na widok publiczny kwestyj zbyt... rozebranych. Nie ma nic zdradliwszego i niebezpieczniejszego, niż talent głupi. Jest to elegancki złodziej, serdeczny oszust, czuły morderca, cnotliwy uwodziciel, słowem złocony orzech, napełniony wewnątrz trucizną. Gdyby do was przyszedł ciężki, mglisty, nieudolny w wykładzie filozof niemiecki i zechciał wam dowieść, że jadący w wagonie z kobietą rodzącą jezuita powinien jej zastąpić akuszerkę, uznalibyście go za półgłówka; tymczasem jeśli tę samą tezę przedstawi w powiastce z talentem Maupassant, mniemacie, że on rozwiązał ważną *kwestyę*. Podobnie gdyby tenże filozof usiłował was przekonać, że mąż powinien zabić żonę, kochającą innego mężczyznę, nazwalibyście takiego moralizatora barbarzyńcą; ale jeśli to samo napisze brylantowym stylem Dumas, zdaje wam się, że on rzucił światu wraz z genialnem rozwiązaniem sfinksową zagadkę. Talent bowiem swą błyszczącą szatą zakryje wszystkie ułomności kalekiego rozumu i głuptaso-

wi nada pozory mędrca. My, czerpiąc filozofię życia z teatru, a zwłaszcza z teatru francuskiego, przejmujemy i przerabiamy wszystkie jego „kwestye." Czegóż to się nie czyta w naszych sprawozdaniach z przedstawień scenicznych; ile w nich jest podziwu wobec głębokich zagadnień, które dla ludzi ukształconych żadnemi zagadnieniami nie są; ile powagi w rozprawach, czy „trójkąt," ułożony z męża, żony i kochanka, odpowiada prawidłom geometryi moralnej; ile dyalektyki w rozbiorze „kwestyi" stosunku dzieci nieprawych do salonów hrabiowskich i wicehrabiowskich; ile uczucia w uwielbieniu dla młodej córki, która sprzedała się przed ołtarzem staremu rozpustnikowi, ażeby podtrzymać przygaszony długami blask rodu i zapewnić zbytkowne życie ojcu! Z odrażających procesów zgnilizny moralnej, ze skruszałych przesądów, z nałogów samolubstwa kopalnianych gatunków ludzkich, z niedołęztwa i kretynizmu umysłowego wydobywano są jakieś wielkie sprawy, nad któremi rozum już dawno przeszedł do dalszego porządku dziennego, a które postęp wymiata z cywilizacyi. Słysząc te rozprawy, spory i wnioski, zdaje nam się nieraz, że mamy przed sobą akademię, której członkowie zdjęli czapki niewidymki z głów i włożyli je sobie na ogony.

Taką akademię przypomnieli nam również niektórzy członkowie rady miasta Krakowa, protestujący przeciw wyższemu kształceniu kobiet na kursach Baranieckiego. I to kwestya — teatralna. Czy kobieta ma prawo zdobyć sobie najwyższy stopień wiedzy — na to pytanie wszystkie narody europejskie, z wyjątkiem może turków, odpowiadają twierdząco. Nigdzie bowiem nie jest ona za to pociągana do odpowiedzialności i nie ulega żadnej karze; wolno jej nauczyć się medycyny, prawa, filologii, matematyki — wszystkich umiejętności. Tylko nie wszędzie może ona studyować w instytucyach publicznych. O te właśnie instytucye toczą się spory, które nie dotyczą wcale zasady, ale rozmaitych przeszkód i utrudnień, spoczywających w samej organizacyi społecznej i jej środkach. Tak np. gdyby to lub owo państwo posiadało pieniądze na utrzymanie podwójnych szkół wyższych, otworzyłoby niewieście. Tymczasem owe Rejtany ciemnoty, pp. Chotkowski i Jordan położyli się na progu rady miasta Krakowa nie w imię jakichś poważnych względów, lecz dla ocalenia... wędlin i kołdunów. Jest to bowiem dla nich pierwszorzędna „kwestya." Kobiety nieuczone — powiada pierwszy — umieją wyrabiać takie przysmaki kuchenne, że po nich najznakomitsi poeci oblizywali palce, czego żadna doktorka lub filozofka nie potrafi. Rzeczywistość dalej sięga swemi granicami, niż najbujniejsza fantazya. Gdyby złośliwy humorysta włożył w usta obrońcy tradycyi podobne dowodzenie, powiedzianoby mu: nakreśliłeś niesmaczną karykaturę; takie dwunożne mamuty kiedyś istniały, ale już dawno pomarły. A oto życie ukazuje nam ich w całej pierwotności. Ci ludzie na jedną szalę umieją włożyć miliony istot pragnących wiedzy i potrzebujących jej dla spełnienia swych zadań a na drugą — miskę kołdunów i wędlin, twierdząc, że ta posiada większą wagę. Czy możemy się dziwić, że obywatele greko-rzymscy skazywali tłumy ludzi na niewolę, która im byt ubezpieczyła, jeśli po 2000 lat obywatele krakowscy wymagają ciemnoty kobiet dla dobra swych brzuchów? Gotowi oni zgodzić się, że oświecona matka lepiej wychowa dzieci, niż nieukształcona, czyli że szkoła rodzinna coś zyska na rozumie niewieścim; ale kuchnia, ta świątynia kapłanów tradycyi, to ożywcze źródło ich idealnych rozkoszy — stanowczo straci. O nią właściwie toczy się walka w sprawie umysłowego równouprawnienia kobiet. Niech sobie czytają Heglów i Schopenhauerów, niech studyują prawo lub medycynę, wszystko to można strawić, ale nie można lichych wędlin i kołdunów. To poprostu grozi panom świata... niestrawnością. Czyżby nie było uczciwiej, przyzwoiciej i pożyteczniej, gdyby Orzeszkowa, zamiast pisać powieści, przyrządzała „przysmaki litewskie," które tak się podobają najznakomitszym poetom, a Konopnicka, zamiast poezyj, ulepszała zrazy z kaszą? Doktorowe Tomaszewicz-Dobrska, Ciszkiewicz i inne więcej by przyniosły społeczeństwu korzyści w kuchni, niż w medycynie, o czem chyba wie dr. Jordan.

Nie można jednak powiedzieć, ażeby czciciele kołdunów, wędlin i innych przysmaków, nawet zwyciężywszy w tej lub innej potyczce, włożyli wawrzyny na swe czoła bez troski. Bo któż zaręczy, że kuchnia domowa jest instytucyą wieczną? W narodach najbardziej ucywilizowanych coraz bardziej wyosobnia się ona w odrębną gałąź przemysłu i pracy, przechodzi z gospodarstwa prywatnego na pole zakładów publicznych, jak szkoła, wyrób płótna lub piwa, które również kiedyś należały do domu. A gdy ogół zacznie jadać w restauracyach, gdzie najzupełniej będzie zadowolony nietylko z wędlin i kołdunów, ale z zup i pieczeni, co poczniemy z taką masą kucharek, spadłych z rodzinnego etatu? Przypuszczam, że pp. Jordan i Chotkowski nie śmią spojrzeć w oblicze takiej przyszłości i zamykając oczy, mówią:

— Obyśmy tej sromotnej chwili nie doczekali! Co to będą za nędzne wędliny i kołduny! Niech je zjedzą ci, co sprowadzą takim postępem koniec świata, bo z pewnością wymrą na katar żołądka.

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Do cudzej kalety. Pięknie się zapowiadał program Tow. kolei podjazdowych, które miało ogarnąć całe państwo, ożywić najbardziej senne zakątki, pobudzić życie przemysłowo-handlowe do szybszego krążenia i dać pracę tysiącom ludzi. Przedsięwzięcie nie upadło i nie upadnie, tylko ominie kapitalistów krajowych, którzy nie mają odwagi przystąpić do tak szerokiego zadania. Według doniesień *Gazety losowań*, organizatorowie przedsiębiorstwa, nie mogąc znaleźć dostatecznych funduszów na miejscu, układają się obecnie z kapitalistami belgijskimi o sprzedaż koncesyi. Powtarza się zatem jeden z wielu faktów kołatania do cudzej kalety. Powtórzy się następnie ubolewanie i zazdrość, gdy belgowie rozwiną szeroki program koncesyi, rozpalą nowe ogniska przemysłu i handlu, rozdmuchają tlejące iskry przedsiębiorstw przy pomocy armii swoich fachowców i zbiorą miliony, których naszym kapitalistom nie mogą dać ani kupony od różnych gatunków papierów, ani drobne żółwie obroty spekulacyjne, przynoszące im dużo zawodów, a spożywcom — szkody.

Ruch przemysłowy. Ożywienie produkcyi żelaza w Dąbrowie ciągle jeszcze wzrasta. Gorączka ta skłoniła przemysłowców do wprowadzenia ulepszeń technicznych w fabrykacyi. Zakłady hutnicze w Sielcu pod Sosnowcem zbudowały i puściły w ruch piec do wyrobu żelaza (system Martina), huta zaś bankowa — dwie nowe walcownie drutu i blachy żelaznej. Przemysł fabryczny w Klimkiewiczowie nad rzeką Kamienną, w pobliżu Ostrowca i kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej, rozwija się stale. Wyrób stalowych bandażów, osi do lokomotyw i wagonów, tudzież stali resorowej i szyn mniejszego kalibru nie ustaje ani na chwilę. W roku ubiegłym wzniesiono tam warsztaty mechaniczne, zbudowano trzy nowe piece do wytapiania stali, ułożono wewnątrz fabryki kilka torów kolejowych i tarcz obrotowych dla ładowania na miejscu. W Tomaszowie Rawskim ruch przemysłowy również się zwiększa. Zapotrzebowania na towary letnie są bardzo duże. Największy zbyt ma t. zw. „kamgarn-szewiot."

Kijów. Miejscowe Towarzystwo wzajemnego ubezpieczenia od ognia cukrowni i rafineryi, pomimo spalenia się w ciągu roku aż dwóch fabryk, ubezpieczonych na znaczne sumy, nie tylko strat nie poniosło, lecz może wypłacić uczestnikom 5% zwrotu premium i 5% na udział w kapitale zakładowym. W roku ubiegłym siedem fabryk nowych przystąpiło do związku.

Kielce. Miejscowa kasa oszczędności przy gubernialnej rozwija się pomyślnie. Wkłady 366 uczestników wynoszą ogółem 28,662, z tej sumy w ostatnim roku złożono 18,190 rs. Kasa daje 4% rocznie. Nadto, każdy uczestnik po złożeniu rs. 100 może zażądać, ażeby pieniądze jego były zamienione na papiery procentowe, zakupowane po kursie dziennym. Dogodne warunki, brak balastu formalistycznego przyczynia się ciągle do wzrostu liczby uczestników.

— *Birż. Wied.* piszą: „O konwersyi 5% listów zastawnych Towarzystwa kredytowego w Królestwie Poskiem, na którą już nastąpiła zgoda ministeryum skarbu, należy dodać, że urzeczywistnienie tej operacyi jest nieco trudnem ze względu, że około ⅓ tych listów znajduje się w rękach kapitalistów niemieckich i austryackich, a zatem stało by się koniecznem utworzenie oddzielnego syndykatu do opłaty tych listów, które w razie konwersyi nie zostały by złożone do wymiany. Konwersya ta jest wogóle związana z przeniesieniem ogniska rozmieszczenia tych listów z rynków niemieckich do cesarstwa."

— Z polecenia wyższej władzy wszystkie instytucye kredytowe mają do 13 lutego 1893 r. nadzyłać do ministeryum skarbu sprawozdania o ilości papierów procentowych rządowych lub gwarantowanych przez rząd, znajdujących się w departamentach i kasach banków.

— Ministeryum skarbu wyznaczyło ceny na rubel srebrny, banknoty i bilon, przyjmowane na opłatę cła przez komory celne na czas od 1 stycznia do 1 kwietnia 1893 r. (st. st.): za rubel srebrny monetą bankową, rubel kredytowy jako też w monecie zdawkowej — 60 kop. w złocie.

— Na posiedzeniu komisyi, zwołanej w celu rozstrzygnięcia uchwał zjazdu wytwórców spirytusu w Moskwie, zwrócono szczególną uwagę na konieczność uregulowania taryf od przewozu spirytusu, zniżenia taryf kolejowych od kartofli i wprowadzenia specyalnych cystern do przewożenia transportów spirytusu.

— Kilka większych fabryk wyrobów bawełnianych w Łodzi podniosło od 2 stycznia po wzajemnem porozumieniu, ceny szyrtingów, perkalu, płótna tyrolskiego, perkalików farbowanych, merli, purpury, płótna bułgarskiego, kreasów ruskich i barchanów drukowanych — o ¼ kop. na arszynie.

— W Jakutowie pod Zamościem stanąć ma w r. b. wielki browar, który produkować będzie około 150,000 wiader piwa i porteru rocznie.

O PRAWDĘ.

W ostatnim numerze *Prawdy* p. Kozłowski, nie odpowiadając bezpośrednio na główne zarzuty moje, dotyczące jego krytyki i nie mogąc zarzutów tych obalić, ucieka się do zwykłego w takich razach środka, tj. gmatwa całą sprawę i gniewa się. Zostawiam mu chętnie tę jedyną drogę wyjścia z położenia, w którem się znalazł. Pragnę tylko zaznaczyć, iż ponieważ p. K. sprowadza polemikę na grunt obcy zupełnie mej książce, ograniczając ją do sprzeczek o metodę Kjeldahla i inne szczegóły, nawiasem tylko zaznaczone w mej replice i niemające nic wspólnego z książką, ani z pierwotnymi jego zarzutami, dowodząc przytem, iż metoda Kjeldahla nie służy do oznaczania białka, ale azotu (z ilości azotu można oznaczyć ilość białka i dlatego w obu razach posiłkować się można temi samemi metodami), podczas gdy w replice mej chodzi przecież tylko o pierwotne zdanie krytyka,

iż z gazów powstałych ze spalenia rośliny nie można poznać, z jakich ciał one powstały (przytoczyłem zaś w replice mej dowody, iż poznać to można nietylko odnośnie jakiegokolwiek *ciała*, lecz i w gazach, powstałych ze spalenia *rośliny*); ponieważ dalej z każdego podręcznika chemii dowiedzieć się można, iż właśnie typowy błonnik rozpuszcza się tylko w odczynniku Schweitzera, kwasy zaś tylko i to na gorąco zmieniają go w amyloid; ponieważ p. K. stawia mi obecnie nowy zarzut, jakobym twierdził, iż naskórek jest *jedyną* tkanką „rośliny," podczas gdy w książce mej uczę, iż roślina typowa składa się z wielu tkanek (str. 86 i 89) i zmienia całkowicie treść pierwotnego swego zarzutu (iż naskórek nie jest *jedną* tkanką); ponieważ korzysta nawet z omyłek zecerskich świadomie, aby pomnożyć ilość zarzutów; ponieważ podsuwa mi myśl, jakobym nie uznawał różnicy pomiędzy biologią i fizyologią, podczas gdy ja twierdziłem tylko, iż krytyk inaczej pojmuje tę różnicę, niż „większość biologów"; ponieważ p. K. żąda ode mnie zamiast jedynie możliwego w tym razie wyrazu „nieprawda" — argumentów na to, iż książka moja zajmuje się wyłącznie morfologią i fizyologią roślin, że każdy jej rozdział nie zaczyna się szeregiem pytań, jak twierdzi krytyk, że nieliczne pytania w mej książce nie mają na celu wyłącznie zaciekawiania czytelników, że nauki w książce tej nie trzeba szukać mikroskopem, że nie jest wcale pisana anegdotycznie, ani nie bije na efekt, że podaję w niej liczne zadania i doświadczenia — co wszystko dowieść bym mógł chyba tylko przepisawszy w replice mej całą książkę; ponieważ wreszcie p. K. posuwa się do tego, iż podaje w niedwuznaczną wątpliwość istnienie dzieł moich, dotyczących analiz mąki, istniejących przecież w handlu księgarskim i ogłoszonych w swoim czasie w pismach — przeto nie pozostaje mi nic innego, jak ponownie zaznaczyć charakter krytyki p. K. i dalszą polemikę z nim zawiesić.

Maksym. Heilpern.

Ponieważ uporczywe obstawanie p. Heilperna przy takich błędach, które nie mogą ulegać żadnej dyskusyi, stwierdza tylko wypowiedzianą przeze mnie w ostatniej odpowiedzi opinię, uważam się więc za zwolnionego od wszelkiej dalszej polemiki.

W. M. Kozłowski.

KRONIKA.

Oszczędni. *Kuryer warsz.* donosi, iż służba policyjna przy kontrolowaniu stróżów nocnych w dzielnicy staromiejskiej przed jednym z domów zauważyła mężczyznę, „którego powierzchowność nie zdawała się licować ze skromnym zawodem." Poznano w nim... właściciela domu, który dla oszczędności podjął się osobiście uciążliwych obowiązków. Dowiedziano się przytem, że stróż miejscowy, bardzo licho płatny, wieczorami zarabiał w przyległym szynku grą na harmonii. Te same pobudki skłoniły właściciela kamienicy przy ul. Mazowieckiej nr. 5 do umieszczenia stróża na noc w ogólnej pralni. Obu tym panom oszczędność nie wyjdzie na dobre, gdyż pierwszy pociągnięty został do odpowiedzialności, drugi — będzie musiał w ciągu siedmiu dni dać zdrowe mieszkanie swemu stróżowi. Kto wie, może mu ustąpi swój lokal, a sam będzie sypiał... w pralni.

Kasa chorych. Gospoda warszawskich czeladników szewckich zaczyna się ruszać. Członkowie jej, liczący około 12,000 (?) uczestników, wnosili do „lady" (*auflega*) na wsparcia, koszty pogrzebu, kasę chorych itd. po 15 kop. miesięcznie, ze wsparć zaś korzystali wyłącznie czeladnicy. Obecnie dla dania możności czerpania zasiłków rodzinom czeladniczym, gospoda projektuje podwyższenie składki do 30 kop. miesięcznie, za co żony i dzieci uczestników otrzymają w razie potrzeby bezpłatną pomoc lekarską, środki apteczne lub miejsce w szpitalu. Ustawa jest już obecnie opracowywana i w połowie stycznia oddana będzie do zatwierdzenia magistratu.

Sprawy społeczne. Zarząd kolei Nadwiślańskiej wyznaczył 42,000 rs. na budowę w obrębie stacyi Praga trzech domów mieszkalnych dla rodzin urzędników warsztatowych, zamieszkujących obecnie w domach prywatnych, wynajmowanych przez zarząd tejże drogi.

— Zatwierdzono ustawę towarzystwa akcyjnego „Guttenberg," którego celem będą przedsiębiorstwa drukarskie.

— W cukrowni „Leśmierz pod Łęczycą" utworzono nową kasę przezorności i pomocy dla oficyalistów i robotników.

— W okolicach Grójca rozparcelowano w ostatnich czasach dwa majątki ziemskie przy pomocy Banku włościańskiego, który udzielił nabywcom pożyczki.

— *Petersb. Wied.* donoszą, że komitet ministrów zatwierdził ustawę ruskiego Towarzystwa rolniczego, mającego popierać przechodzenie swobodnych gruntów w kraju południowo-zachodnim w posiadanie osadników z wewnętrznych gubernij ruskich.

— Ministeryum spraw wewnętrznych, dla podtrzymania dobrobytu ludności wiejskiej, będzie przyjmować powinności drogowe zamiast w pieniądzach — w naturze; dla pokrycia niedoborów państwowych przedsiębrać ma nieustannie roboty publiczne i do wykonania ich powoływać włościan; część podatków przyjmować będzie w ziarnie; wreszcie dopomagać ma wszelkimi sposobami do podniesienia się przemysłu drobnego.

— W Petersburgu na zjeździe budowniczych postanowiono robić starania u władzy, aby odpowiedzialność za prowadzenie wszelkiego rodzaju robót budowlanych ciężyła nietylko na głównym kierowniku, lecz i na niższych podwładnych; podano także wniosek do ministeryum spraw wewnętrznych, aby posady budowniczych miejskich mogli zajmować tylko architekci dyplomowani.

— Świadectwa tożsamości osoby, zwolnione dotychczas od podatku stemplowego (wydawane przez policyę lub władzę pośrednią) oraz książeczki robotnicze będą obłożone stemplem 5-o kopiejkowym.

— *Now. Wr.* pisze: „Na jednem z ostatnich posiedzeń departamentu senatu rozstrzygnięto sprawę mnożących się kradzieży z wagonów kolejowych i ze statków parowych rzeczy pasażerów. Większość sądów upatrywała w tych wypadkach zwyczajną kradzież, przewidzianą w art. 169 ym ust. sąd. pok. i nigdy prawie nie stosowała art. 1651 i 1652 ust. o karach, głoszących o kradzieży pakunków, waliz itd. z wozów, należących do osób prywatnych lub instytucyj transportowych, za co groziła ciężka kara rot aresztanckich na kilka lat i zesłania do Syberyi z pozbawieniem wszystkich praw stanu. Obecnie senat rozstrzygnął, że we wszystkich wypadkach kradzieży z wagonów, bez względu na okoliczności przestępstwa, winien być stosowany art. 1651 ust."

— W r. z. wydano przepis, według którego osoby, trudniące się samodzielnie ciesielstwem i mularstwem, powinny w ciągu roku przedstawić do urzędu starszych dowody uzdolnienia i otrzymać ztamtąd odpowiednie świadectwa. Obecnie urzędy te mają zawiadomić władzę o osobach, które przepisom owym dotychczas nie uczyniły zadość, dla zmuszenia ich do przedstawienia swoich kwalifikacyj i wpisania się na majstrów lub zaniechania samoistnego prowadzenia robót.

Szkoły. Z powodu mającego nastąpić w Warszawie otwarcia, kosztem kasy miejskiej, szkół jednoklasowych dla dzieci wyznań chrześciańskich, zbierają się obecnie dane, w jakich dzielnicach miasta szkoły takie byłyby najpotrzebniejsze.

— Ministeryum oświaty wyjaśniło, że przepis o zrównaniu praw nauczycieli rysunków i kaligrafii z innymi nauczycielami dotyczy zarówno gimnazyów męzkich i żeńskich.

— W obrębie państwa ruskiego istnieje już 1500 szkół zawodowych.

Zdrowie publiczne. W Warszawie dnia 27 grudnia zaszło 6 nowych wypadków cholery.

— Dane ogłoszone w *Praw. Wiest.*, stwierdzają, że ze wszystkich miejscowości w całem państwie najdotkliwszą klęskę cholera wyrządziła w Lublinie. Od 19 sierpnia w ciągu 11-tu tygodni zachorowało 2,350 osób, zmarło 788, co w stosunku do ludności czyni zachorowań 4,81%, wypadków śmierci 1,38%, podczas gdy w Astrachaniu zachorowało 4'8% ludności (zmarło więcej, gdyż 3,16%, lecz epidemia dłużej trwała o dwa tygodnie). W Orenburgu 4,78% (zmarło 2,35%), w Rostowie nad Donem 4,66% (zmarło 2,09%). Jedynie w Erywaniu zachorowało 6,61%, lecz zaraza trwała 15 tygodni, a śmiertelność była mniejsza niż w Lublinie, gdyż zmarło tylko 1,49%. W stosunku do ogólnej liczby ludności gub. lubelska pod względem rozwoju epidemii zajmowała w Rosyi europejskiej 8 miejsce (5,09%), w astrachańskiej (24,94%), saratowskiej (17,19%), samarskiej (15,47%), symbirskiej (10,25%), woronezkiej (8,93%), orenburskiej (7,45%) i tambowskiej (7,21%). W Warszawie epidemia tegoroczna była najsłabsza w stosunku do dawniejszych. W r. 1848 zachorowało 4,288, zmarło 1,678, w 1849 zachorowało 1,923 zmarły 793, w 1852 zachor. 11,042, zmarło 4,707, w 1855 zachorowało 4,065, zmarło 1,784, w 1866 zachorowało 3,644, zmarło 675, w 1867 zachor. 7,249, zmarło 2,222, w 1873 zachorowało 4,105, zmarło 1,525, wreszcie w r. b. zachorowało 174, zmarło 69.

Sprawy kolejowe. Zarząd kolei Wiedeńskiej przeznaczył w r. b. znacznie mniejszą kwotę na gratyfikacye dla urzędników, niż w zeszłym; przyjęta obecnie norma stanowi zaledwie $3^3/_4$% rocznej pensyi, to jest zmniejszoną została blizko o 2% względem normy zeszłorocznej. Powodem tej oszczędności ma być zmniejszenie się w roku ubiegłym dochodów i zwiększone rozchody z powodu nieprzewidzianych wypadków.

— W zbiorze taryf kolejowych ruskich Warszawę zaliczono do rzędu 18-tu miast, z których zaczynają się kombinacye podróży okolnych (*Rundreise*). Kombinacyj takich jest 8 — a sięgają one aż do Tyflisu (w komunikacyi kolejowej i parostatkowej). Bilety jazdy okólnej z Warszawy — wydawane są w kasach kolei Terespolskiej i Nadwiślańskiej. Warszawa stanowi punkt pośredni w podróżach okólnych, zaczynanych z Petersburga i Moskwy, na wschód zaś po za Moskwę już się nie komunikuje. Koleje Finlandzkie nie objęte są konwencyą. Najdroższą jest podróż z Warszawy przez Białystok, Grodno, Wilno, Psków, Petersburg, Moskwę, Kursk, Kijów, Odesę, Lublin, Warszawę powrotnie (klasa I 112 rs. k. 58, — II 82 rs. 78 kop., — III 43 rs. 68 k.), — najtańszą zaś na Brześć litewski, Mińsk, Smoleńsk, Wiaźmę, Moskwę, Petersburg, Port bałtycki, Rygę, Dynaburg, Wilno, Grodno, Białystok do Warszawy powrotnie (76 rs. 73 k., 55 rs. 90 kop. i 29 rs. 93 kop.). Przejazd wodą nie jest wliczony do opłat.

— Na kolejach tutejszych będzie wprowadzony system biletów powrotnych (na przeciąg czasu 48 g. i na przestrzeni nie więcej nad 100 wiorst). Opłata biletu powrotnego II i III klasy pobieraną będzie w stosunku 25%, czyli że ustępstwo na ogólnej cenie przejazdu wyniesie $37^1/_2$%. Pasażerowie z Warszawy korzystaliby z tej ulgi na przestrzeni Koluszek, Łowicza, Siedlce, Iwangrodu, Konopek i Czyżewa.

— W obieraniu członków zarządu kasy emerytalnej kolei Wiedeńskiej będą nadal brać udział tylko tacy jej członkowie (urzędnicy i oficyaliści), którzy mają co najmniej trzy lata służby etatowej i pobierają pensyi najmniej 240 rs. rocznie; wybieralnymi zaś będą członkowie, mający nie mniej nad rok służby i 600 rs. pensyi etatowej.

Wystawy. Towarzystwo przemysłu i handlu przyjmować będzie tylko przez czas krótki jeszcze deklaracye od kobiet, pragnących prace swoje zaprodukować na wystawie kolumbijskiej w Chicago. W salonie muzeum urządzona będzie na przeciąg dni kilku improwizowana wystawa tych prac.

— Zarząd wystawy etnograficznej zamierza urządzić wystawę koronkarstwa ludowego i w tym celu zwrócił się do obywatelek żeńskich, popierających pomieniony przemysł w rozmaitych okolicach kraju.

Dobroczynność publiczna. Zatwierdzono zapis ks. Nowickiego, przeznaczający 2,000 rs. na budowę kościoła na Pradze i 300 rs. dla przytułku paralityków.

— Zmarły Adam Wojciechowski zapisał 1000 rs. Towarzystwu dobroczynności dla ubogich bez różnicy wyznań, roczny procent od 2,00 rs. na stypendyum dla niezamożnych studentów uniwersytetu warszawskiego, takiż procent od 2,000 rs. dla uczniów szkoły rzemiosł i procent od 1000 rs. dla uczniów szkoły handlowej różnych wyznań.

— Wśród fabrykantów z okolic Solca i ul. Czerniakowskiej powstała myśl założenia w tej dzielnicy stałego przytułku noclegowego na wzór istniejącego na Pradze.

— W dniu 15 stycznia ma się odbyć w sali ratuszowej koncert z udziałem pani Tosti na rzecz schronienia dla nauczycielek.

Zmarli. Adam Kosmowski, w Wilnie. Współpracownik *Słownika geograficznego* i dzienników.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu W. Kr. w Kielcach. Naturalnie polacy, przemawiając w parlamencie niemieckim, wyrażają się, jak inni posłowie: *meine Herren.* Dlaczego zaś gazety poznańskie tłomaczą te słowa: „mości panowie," nie pojmujemy, tem bardziej, że gdyby owi „mości panowie" porozmawiali w sejmie po polsku, z pewnością nie używaliby „mości," gdyż język nasz zupełnie tego tytułu się wyzbył.

S. R. Z przedmiotów klasycznych. Słownik łacińsko-polski Węclewskiego, polsko-łaciński Trojańskiego (Wrocław 1819).

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 24 Декабря 1892 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.